Stron 8

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

Cena 25 zł.

Wieś

tygodnik społeczno-literacki

Rok VII

Warszawa, dn. 27. VIII. 1950 r.

Nr 34 (265)

W NUMERZE:

KAZIMIERZ KĄKOL

BOHATEROWIE NASZYCH CZASOW

Czy bohaterem pracy trzeba się urodzić, czy można się nim stać? A jeżeli osiągnięcie pozycji przodownika pracy jest możliwe dla każdego, to w jakich warunkach? Czy bohaterów można wychować — i jaka instytucja jest do tego powołana?

Odpowiedź na te pytania można odczytać w kolejach życia naszych najwybitniejszych przodowników. „Biblioteczka przodowników pracy", wydawana przez „Książkę i Wiedzę", pokazuje nam tych, którzy znajdują się na frontowych pozycjach socjalistycznego budownictwa.

Przeszło czterdzieści pozycji „Biblioteczki" **obrazuje życie, walkę i osiągnięcia** poszczególnych bohaterów socjalistycznej pracy; równocześnie jednak stanowią one **obraz ruchu współzawodnictwa** pracy w Polsce.

Jakże jest to możliwe?

Przecież, jeśli nawet weźmie się pod uwagę, że niektóre tomiki „Biblioteczki" zawierają portrety większej liczby przodowników, to i tak liczebność zespołu omawianego będzie pozostawała w rażącej dysproporcji do rozmiarów liczbowych ruchu współzawodnictwa. Ruch ten ogarnął około 60 proc. ogółu zatrudnionych w uspołecznionym dziale gospodarstwa narodowego *); ilość racjonalizatorów i nowatorów produkcji wzrasta ustawicznie: w roku 1948 zgłoszono — 3.346 wynalazków a przyjęto i premiowano — 2.171; w pierwszym tylko półroczu 1949 r. odpowiednie liczby wyniosły już 3.579 i 2.489.

Bliższe zapoznanie się z treścią tomików ukazuje wyraźnie prawidłowość w kształtowaniu się, rozwoju, przebiegu i rezultatach ruchu współzawodnictwa, ukazuje mechanizm działania „szkoły" socjalistycznych bohaterów pracy.

Szkołą tą jest przede wszystkim zakład pracy.

Na terenie zakładu przodownik pracy swoim przykładem obiektywizuje przeszkody i trudności, dowodzi, że są one możliwe do pokonania. Każdy niemal z nich jest wychowawcą, wzorem do naśladowania dla wielu dziesiątków mniej doświadczonych towarzyszy pracy.

„Jeżeli zgromadziłem w życiu tyle doświadczeń, że już chyba mój warsztat pracy nie ma dla mnie tajemnic, to nie racja, żebym miał tę wiedzę zabrać ze sobą do grobu" — powiada Henryk Wójcik, kierownik robót w warsztatach PKP Warszawa-Praga, odznaczony orderem „Sztandaru Pracy" I klasy. „Przychodzą przecież nowi, młodzi, mniej doświadczeni robotnicy. Chcę im dopomóc, żeby tę umiejętność, którą ja już mam, oni zdobyli szybciej, kosztem mniejszej ilości lat i mniejszych wysiłków. Trzeba przecież zrozumieć, że człowiek, który pierwszy raz znalazł się w warsztacie, jeszcze nie rozumie roboty i jest wobec niej niemrawy i niezgrabny. Szybciej oswoi się ze swoimi zadaniami i nauczy je wypełniać, jeżeli stanie przy nim starszy towarzysz i wyjaśni mu, pokaże, poda pomocną dłoń, tak żeby nowicjusz mógł się przekonać, że to nie żadne cuda, że wystarczy trochę myśleć i chcieć dobrze pracować".

Praca przodowników przyczynia się do podnoszenia poziomu kwalifikacji fachowych. Robotnik niewykwalifikowany zdobywa pracując wiedzę zawodową. Piotr Trzciński, tynkarz, mówi: „w zespołach mogą doskonale pracować również robotnicy niewykwalifikowani... Drugi podręczny — a więc robotnik niewykwalifikowany, nie tylko wydajnie pracuje. Uczy się, a jednocześnie i zdobywa wiadomości fachowe. Kształci się i awansuje na pierwszego podręcznego, a z czasem na tynkarza". A wspomniany już Henryk Wójcik: „Przy jednym fachowcu pracuje czterech niefachowych i ci stopniowo wdrażają się do pracy".

Śmiało można mówić o „szkole" pracy rębacza, powstającej w oparciu o wzory wypracowane przez Zielińskiego, Bugdołów, Apryasa, Nierychłę, Zająca.

Tynkarz Piotr Trzciński i jego trójkowy zespół tynkarski stanowi wzór dla przeszło 40 podobnych trójek; charakterystyczne jest, że sam Trzciński zamierzał zorganizować i przeszkolić 28 trójek, a liczba ich wzrosła już w czasie przeprowadzania akcji.

W trzy dni po zainicjowaniu przez Krajewskiego zespołowej pracy w murarstwie, pracowały już cztery zespoły: Poręckiego, Religi, Kowalczyka i Nowakowskiego, mimo, że Poręcki przyglądając się początkowo pracy Krajewskiego, przysiągł że woli raczej pójść kosić, aniżeli tak murować. Kontynuatorzy pracy Krajewskiego nie byli jednak tylko zwykłymi naśladowcami: wnosili własny wkład w dzieło rewolucjonizowania budownictwa. W ciągu niespełna roku osiągnięcie Krajewskiego zostało dziesięciokrotnie przewyższone: zamiast ułożonych przez niego 3.400 cegieł murarz Gruca ze swoją trójką ułożył 32.245 cegieł w ciągu 8 godzin.

Zakresy osobowe tych „szkół socjalistycznej pracy" są o wiele szersze niżby to wynikało z tego, co powiedziano wyżej. Przekraczają one granice państwowe, powstają na zasadzie wymiany doświadczeń między pracownikami różnych krajów. „Szkoła" Zielińskiego i Bugdołów jest spokrewniona ze „szkołą" Stachanowa. Ze „szkołą" Matrosowa znowu związane są te zespoły naszych przodowników w fabrykach obuwia, którzy za przykładem Gmitrzykowskiego, posługując się systemem wykrojów Matrosowa przekraczają wielokrotnie normy produkcyjne. Krajewski był uczniem radzieckiego rekordzisty pracy Maksymienki, Trzciński przeniósł na nasz teren doświadczenia zdobyte w Związku Radzieckim; Brygady najwyższej jakości Al. Czuthicha stanowią przykład dla brygad naszych włókniarzy.

Ustrój socjalistyczny dając pracę, chleb, likwidując groźbę bezrobocia pozwala śmiało wprowadzać ulepszenia, wynalazki, pomysły, nowe metody pracy. W ustroju kapitalistycznym „trzymano się oburącz starych, nawet przestarzałych metod pracy, byle tylko utrzymać się na powierzchni. Byleby nie być skazanym na bezrobocie. A pracodawcy również nie zależało na ewentualnych zmianach, mogących poprawić byt robotników. Uznawał on tylko takie zmiany, które zmniejszały ilość zatrudnionych w jego przedsiębiorstwie". W tych warunkach — pisze dalej Piotr Trzciński — „nikomu z nas nie zależało na pośpiechu. Wręcz przeciwnie. Pracowaliśmy jak najwolniej, żeby móc tę pracę ciągnąć jak najdłużej".

Pracownik usiłował trzymać się kurczowo zakładu pracy. W poszukiwaniu chleba chwytał się każdego zajęcia, wędrował od fabryki do fabryki. J. Krajewski inicjator zespołowej metody pracy w murarstwie wykonywał zawody koszykarza, pikolaka, parobka, forysia, subiekta, murarza. M. Łykowski tokarz-racjonalizator był nakładaczem w drukarni, robotnikiem drogowym, robotnikiem cegielni, instalatorem i wreszcie tokarzem. J. Nierychło, przodujący rębacz, spełniał obok wielu funkcji górniczych — funkcje pomocnika murarskiego, malarza pokojowego, tragarza, pracował na „hałdach", łowił ptaki, hodował ryby i bobry — byle tylko utrzymać się przy życiu.

Dziś sytuacja jest odmienna: pracownik ma możność stałego wykonywania swego zawodu, ustawicznie się w nim doskonali. Fabryka, zakład pracy wytwarza rodzaj „patriotyzmu zakładowego". Można by ją nazwać szkołą właściwego stosunku do pracy. W takiej atmosferze rodzą się coraz to nowe osiągnięcia produkcyjne. M. Terpilakowa przodująca tkaczka wyraźnie dostrzega ten proces. „W naszej „Wełnianej Jedynce" panuje „zdrowy klimat". Żyjemy wszyscy zgodnie. Administracja i załoga stanowią jeden zgrany zespół, mający wspólne cele i wspólne dążenia".

Rodzi się nowy stosunek do zakładu pracy. Jest w nim poczucie dumy z osiągnięć, chęć ich utrwalenia i poszerzania. „Wełniana Jedynka" jedna z pierwszych przyłączyła się do ruchu współzawodnictwa i zajęła w nim jedno z pierwszych miejsc" — mówi dalej Terpilakowa. „Na tablicy honorowej pojawiały się stale nowe nazwiska ludzi, którzy przyczynili się do postawienia produkcji na należytym poziomie. Tow. Henryk Łuszczak ośmiokrotnie zdobył tytuł przodownika pracy. Jeden z weteranów fabryki, sześćdziesięcioletni Józef Zygmunt — zdobył go pięciokrotnie. Czterokrotnie Irena Karbowska i inni. A majster Zygmunt Bartczak, któremu tak wiele zawdzięczam zaprowadził w swojej sali wielowarsztatowość.

Typowa jest radość z osiągnięć towarzyszy pracy. Radość, która usunęła, zrodzoną przez kapitalizm zawiść, podejrzliwość, obawę przed konkurencją, „wygryzieniem" z pracy. H. Wójcik pisze: „Prawdziwą satysfakcją jest dla mnie to, że premiowani przodownicy niejednokrotnie mi mówili, że to mnie właśnie w dużej mierze zawdzięczają uzyskane rezultaty, bo zorganizowałem pracę w ten sposób, że uzyskanie tych wyników — i co za tym idzie — premii jest możliwe".

Zagadnienia produkcyjne nie są jedynym czynnikiem zespalającym załogę. M Terpilakowa podkreśla z naciskiem, że „również pod względem urządzeń socjalnych PZPW Nr 1 należy do przodujących zakładów pracy w Łodzi. Nasz żłobek uchodzi w Łodzi za wzorowy. W Tuszynie mamy dom wypoczynkowy dla dzieci, dokąd całe przedszkole wyjeżdża na trzy miesiące letnie. Wreszcie fabryka posiada swój własny zakład krawiecki, szewski, oraz fryzjerski, a ceny w tych zakładach są znacznie niższe od cen rynkowych.

Właściwa atmosfera na terenie zakładu pracy powstaje w wyniku współdziałania czynników, powołanych do kierowania zakładem pracy. Współzawodniczący wielokrotnie wskazują na znaczenie, jakie dla ich wysiłków ma poprawne funkcjonowanie Rady Zakładowej, Dyrekcji, Organizacji Partyjnej. „Nigdy nie osiągnęlibyśmy tych rezultatów, jakie osiągamy, gdybyśmy szli samopas, bez żadnej organizacji. Te organizacje istnieją. Jest nią Podstawowa Organizacja Partyjna i Rada Zakładowa. Mamy też Komitet Współzawodnictwa, który poprzez komisje, organizacyjno - popularyzacyjną, techniczno-ekonomiczną i wyników nadaje ruchowi współzawodnictwa formy organizacyjne. Poza tym regularne narady wytwórcze przyczyniają się w dużej mierze do usuwania braków niedociągnięć w produkcji".

Nie oznacza to oczywiście, aby droga przodowników i racjonalizatorów była łatwa. Z trudem i uporem trzeba było torować drogi rozwojowe ruchu, zdobywać uznanie dla jego osiągnięć. Konserwatyzm, rutyniarstwo, niewiara w możliwości i zdolności robotnika, — oto wrogowie ruchu współzawodnictwa i racjonalizatorstwa.

J. Suplicki, tokarz z Pafawagu, stwierdza: „Na moją wysoką normę reakcja „góry" to jest kalkulatorów i kierownictwa była bardzo dziwna. Kalkulator obniżył mi zaraz czas przeznaczony na wykonanie jednej sztuki, nie wykazując przy tym zainteresowania co spowodowało u mnie tak dobre wyniki".

J. Walaszczyk opisuje swoją bitwę z biurokracją: „Rysunek przyrządu można było wykonać w kilka godzin. Rysowano go w biurze konstrukcyjnym 5 dni... i narysowano źle! Przedłużyło to sprawę wykonania znacznika w Mennicy Państwowej znów o kilka tygodni. Poprawiać rysunek w Mennicy musiałem sam. Był on tak dziecinnie prosty, iż trudno było zrozumieć, jak można go było wykonać źle! Ktoś robił tu wyraźnie na złość..."

Podobnie M. Łykowski: „Góra" odnosiła się do mego pomysłu niechętnie. Tkwili jeszcze ciągle w starych pojęciach, stali na stanowisku, że tylko tak, jak ich uczono, jak za ich czasów pracowano jest dobrze i że nie należy tymi „świętościami" wstrząsać. Wyrobienie przez kogoś zbyt wysokiej normy uważali za kompromitację dla fabryki, gdyż dowodzi to, że posługiwała się ona fałszywymi normami". Otwartą, bezlitosną walkę wszczął wróg klasowy z Henrykiem Garbaczem, osadnikiem rolnym, konstruktorem maszyny do przerywania buraków. Maszyna, zastępując pracę ręczną uniezależniała biedotę wiejską od bogaczy. „Moi sąsiedzi — mało- i średniorolni chłopi orientowali się, że dzięki tej maszynie nie będą już zmuszeni całymi dniami zginać się nad burakami. Wiedzieli, że maszyna ta jest narzędziem walki klasowej — walki, która wyzwoli ich od przewagi bogaczy w uprawie buraków. Naraz niebo pokryło się krwawą łuną, a niemal równocześnie z sąsiednich Domonic zagrzmiał głos trąbki, zwiastującej pożar. Kiedy znaleźliśmy się na wzgórzu, obok wsi, oczom naszym przedstawił się straszny widok. Stodoła moja, pełna zboża i koniczyny — płonęła. Dopiero później dowiedziałem się, że była to zemsta bogaczy, którzy nie mogli przeboleć tego, iż mało- i średniorolni chłopi chcą się od nich uniezależnić".

Licznych metod walki używa wróg klasowy, by zahamować wzrost produkcji. Jednak przodownik pracy — racjonalizator wychodzi z tej walki zwycięsko. H. Garbaczowi przyszła z pomocą robotnicza ekipa łączności ze wsią, Łykowskiemu, Suplickiemu, Walaszczykowi... przyszły z pomocą komórki partyjne.

Podobnie kierownictwo techniczne, Dyrekcja wskazuje możliwości podnoszenia wydajności, inicjuje wysiłki w tym kierunku, wskazuje lekturę, poleca teoretyczne przepracowanie wyników. Dyrektor huty, Pierzynka, awansowany z robotnika, dzięki znajomości pracowników, zleca im zadania i funkcje, leżące w zakresie ich zdolności i zamiłowań, stwarzając w ten sposób możliwości nowych osiągnięć.

Wspomniana już kilkakrotnie Maria Terpilakowa jest dumna ze swoich dyrektorów. „Tak się jakoś dziwnie składa, że na czele naszej fabryki od roku 1947 stoją kobiety. I chociaż początkowo śmiano się „z babskich rządów" przekonano się rychło, że kobieta potrafi kierować zakładem pracy nie gorzej niż mężczyzna".

Fabryka jest szkołą socjalistycznej pracy. Najlepsze metody pracy stają się własnością wszystkich — domagają się tego sami ich twórcy. T. Muraszew, ślusarz - mechanik, stwierdza, że „trzeba, by doświadczenie raz przez kogoś nabyte — było jak najbardziej udostępniane innym. Nie powinna ginąć nawet okruszyna tego, co się zyskało w ciągu długich lat praktyki".

Uwagi przodowników na temat metod prowadzących do wielkich osiągnięć produkcyjnych są proste i zrozumiałe. Szczepan Kuderski, twórca brygady przeciwawaryjnej „Czerwona Trzebinia" podkreśla, że „do roboty trzeba umieć podejść. Nie sztuka robić siłą tak, żeby pracownik urobił się po łokcie i nie z tego nie miał. Ja sobie każdą robotę najwpierw muszę dokładnie obejrzeć, muszę pomyśleć, czy można ją zrobić technicznie (t.zn. przy zastosowaniu maszyn). Muszę tak sobie naprzód obmyśleć, ażeby nie było wypadku ani szkody".

M. Łykowski jest zdania, że nawet małe usprawnienia, pilność, punktualność, zdyscyplinowana praca, obliczenie czasu i ruchów — decydują o wyniku; „kto przez cały czas nie myśli, jakby najlepiej wykonać zadanie, nigdy nie zajmie czołowego miejsca".

Jakże proste się wydają cztery zasady wydajności, sformułowane przez Czesława Zielińskiego: pełne wykorzystanie dnia roboczego — rozpocząć pracę natychmiast po zjechaniu na dół; dbałość o narzędzia — mieć je zawsze w pogotowiu oczyszczone, wyreperowane, zdatne do pracy; mieć świadomy, myślący stosunek do pracy, szukać nowych dróg, prowadzących do lepszego wykorzystania techniki, wprowadzać coraz to nowe ulepszenia; organizacja pracy — umiejętnie łączyć czynności.

Te proste zasady, konsekwentnie urzeczywistniane zrewolucjonizowały naszą produkcję. Wysoki odsetek przekraczających dawne normy produkcji dowodzi, jak bardzo były one zacofane. Od przeciętnie dobrej wydajności pracy murarza, pracującego indywidualnie, która wynosiła 800 cegieł, — do wydajności zespołów murarskirh z listopada 1949 r. — 34.200 cegieł uwidacznia się rewolucja w doskonaleniu techniki produkcji i organizacji pracy.

Czy bohaterem pracy trzeba się urodzić? Na pewno nie. Można się nim stać. Przodownik pracy wyrasta w twardej pracy nad sobą, jest wspierany przez Partię i Związki Zawodowe. W śmiałych próbach doskonalenia techniki produkcji, drobnych nieraz ulepszeniach, nieugiętej i świadomej woli służenia ludowej ojczyźnie — szukać należy źródeł masowego ruchu współzawodnictwa i racjonalizatorstwa. W tym właśnie ruchu wyrasta bohater naszych czasów — przodownik pracy.

Kazimierz Kąkol

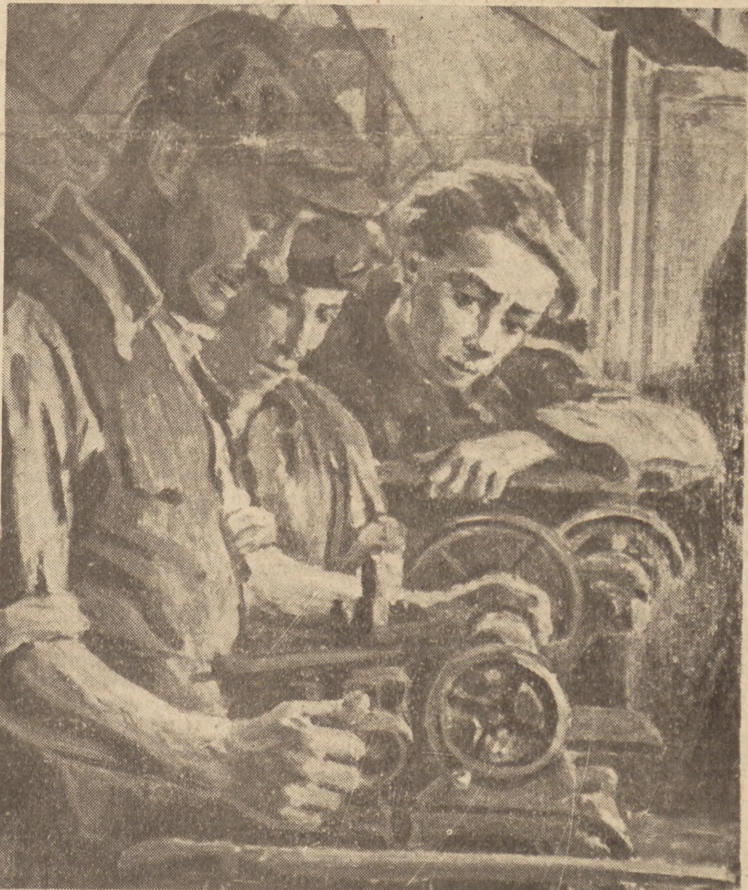
*) J. Kofman „Współzawodnictwo a Związki Zawodowe". „Myśl Współczesna" 2/50.

PRZODOWNICY PRACY *)



Mal. Edmund Czarnecki

Przodownik pracy kopalni „Śląsk" Jerzy Malik.



Mal. Antoni Bartkowski

Racjonalizator z Krakowa Jan Grabowski.



Mal. Bronisław Brykner

Chlewmistrz Józef Sosnowski przodownik z P. G. R.

***) Z II Ogólnopolskiej Wystawy Portretów Przodowników Pracy i Racjonalizatorów.**

BOLESŁAW KUŹMICZ

UDZIAŁ RAD NARODOWYCH W PLANOWANIU

Po historycznych obradach III, IV i V Plenum PZPR, których wytyczne są drogowskazem naszych poczynań politycznych, społecznych, gospodarczych i organizacyjnych, weszliśmy zdecydowanie na drogę szerokiego wprowadzenia mas pracujących do bezpośredniego udziału w kierowaniu przebiegiem życia gospodarczego i ogólnego.

Wyrazem tej tendencji jest ścisłe powiązanie życia gospodarczego na wszystkich szczeblach hierarchicznych i we wszystkich działach gospodarki narodowej z pracami Rad Narodowych. Utworzenie pięciu ministerstw przemysłowych, Centralnego Urzędu Drobnej Wytwórczości, szeregu centralnych zarządów dla poszczególnych gałęzi przemysłu względnie grup przemysłowych, powołanie terenowych jednolitych organów władzy państwowej w postaci organizacji systemu rad narodowych i ich organów i wreszcie ostatnie zmiany w podziale administracyjnym Państwa, polegające na utworzeniu trzech nowych województw: koszalińskiego, opolskiego i zielonogórskiego — wszystko to są formy realizowanej w tym duchu przebudowy ustrojowej.

Dzięki tym przemianom stworzone zostały dogodne warunki dla wyzwolenia nieujawnionych dotychczas sił, które w niebywały sposób mogą wzmóc rozwój i postęp życia gospodarczego w każdej dziedzinie na terenie poszczególnych województw i powiatów, zwłaszcza zaniedbanych lub zapóźnionych w rozwoju.

Równocześnie z tym nastąpił też zasadniczy przełom w metodach planowania. Doświadczenia lat ubiegłych w tej dziedzinie, a zwłaszcza ostatnie doświadczenia nad opracowaniem planu 6-letniego rozwoju gospodarczego i budowy podstaw socjalizmu, — dowiodły, że czynniki terenowe — uświadomiona klasa robotnicza i masy pracującego chłopstwa w swoim dynamizmie i możliwościach przekraczają najśmielsze nieraz ustalenia planistów centralnych.

I dlatego też w obliczu tak wielkiego zadania, jakie stoi przed społeczeństwem w postaci, uchwalonego przez Sejm Ustawodawczy planu 6-letniego musimy dziś tak mocno stawiać na teren i na jego udział zarówno w formowaniu jak i wykonaniu zadań planowych. W związku z tym postawiona została zasada, ustalony zakres i rozbudowana sieć organów terenowego planowania gospodarczego przy Prezydiach woj. i powiatowych Rad Narodowych, w postaci Woj. i Powiatowych Komisji Planowania Gospodarczego.

Stało się to możliwe do przeprowadzenia dopiero na podstawie ustawy z 20 marca 1950 r. o terenowych organach jednolitej władzy państwowej. Znaczenie tej ustawy z tego względu jest ogromne. Podkreślił to w sposób dobitny Prezydent Bolesław Bierut w swoim referacie na IV Plenum KC-PZPR w dniu 8.V. 1950 r. mówiąc:

„Plan 6-letni stawia przed nami potężne zadanie, które obejmuje nieomal całokształt zagadnień bytu i potrzeb kulturalnych. W tych warunkach byłoby szkodliwym anachronizmem oddzielać sprawy i potrzeby lokalne od zadań i potrzeb ogólno państwowych. Na odwrót — racjonalny rozwój inwestycji gospodarczych i przemysłowych wymaga, aby usunąć karykaturalne i wysoce krzywdzące dla mas ludności upośledzenie i zaniedbanie całych wielkich obszarów kraju, pozbawionych jakichkolwiek ośrodków przemysłowych oraz nowoczesnej sieci dróg komunikacji, urządzeń miejskich i kulturalnych, sieci energetycznej i t.p. jak to ma np. miejsce we wschodniej części Polski.

Istnieje paląca już nieomal konieczność rozszerzenia zadań planowania i kontroli we wszystkich ośrodkach terenowych, zwłaszcza zaniedbanych dzielnicach robotniczych.

Można to urzeczywistnić tylko przez ujednolicenie i scalenie organów władzy ludowej, a także przez usunięcie rażących wad w podziale administracyjnym kraju".

Dwie uchwały Rady Ministrów z 17 kwietnia i 31 maja 1950 r. ustalają zasadniczo zakres planowania terenowego. W szczególności pierwsza określa organizację i zakres działania wojewódzkich i powiatowych komisji planowania gospodarczego, druga zaś precyzuje zakres spraw objętych terenowymi planami gospodarczymi i tryb składania projektów planów. Na zakres działania wojewódzkich i powiatowych komisji planowania gospodarczego składa się szereg zadań.

Podstawowym ich zadaniem jest opracowanie projektów wojewódzkich planów gospodarczych na różne czasokresy. Plany te obejmują zagadnienie: rolnictwa, leśnictwa, drobnego przemysłu, handlu, komunikacji, urządzeń socjalnych i kulturalnych, inwestycji i budownictwa, gospodarki komunalnej oraz gospodarki mieszkaniowej.

W dziedzinie np. rolnictwa plany terenowe obejmują całokształt zadań (za wyjątkiem PGR) wraz z akcją inwestycyjną (za wyjątkiem plan inwest. państw. ośrodków maszynowych i spółdzielni produkcyjnych) na odcinku produkcji roślinnej i zwierzęcej, mechanizacji robót rolnych i elektryfikacji wsi, prac wodno — melioracyjnych, produkcji nasion, zaopatrzenia kontraktacji ochrony roślin i stacji doświadczalnych, służby weterynaryjnej, oraz zadania w zakresie planowego oddziaływania na drobne i średnie gospodarstwa indywidualne. Wszystkie inne zagadnienia i elementy planu rolnictwa są planowane centralnie — z tym że podlegają opiniowaniu przez wojewódzką komisję planowania gospodarczego. Niektóre z tych opinii, np. w zakresie bilansu użytkowania ziemi, likwidacji odłogów i ochrony roślin są dla Ministerstwa Rolnictwa i RR wiążące. Plany terenowe w zakresie rolnictwa opracowywane są na szczeblu wojewódzkim ale zawierają też ważniejsze wskaźniki zadań planowych dla poszczególnych powiatów, a nawet gmin. Wynika z tego że w opracowaniu takich planów muszą praktycznie o większym lub mniejszym stopniu brać udział powiatowe i gminne rady narodowe.

W zakresie np. drobnego przemysłu planowaniu terenowemu podlega całkowicie państwowy przemysł miejscowy podległy dyrekcjom przemysłu miejscowego, następnie przemysł podległy bezpośrednio terenowym organom rad narodowych (były przemysł samorządowy) i wreszcie zakłady przemysłowe i rzemieślnicze, podległe Centrali Przemysłu Artystycznego i Ludowego Centrali Spółdzielni Inwalidów, Centrali Rzemieślniczej i Związkowi Spółdzielni Pracy, Centrali Spółdzielni Spożywców i Centrali Rolniczej Spółdzielni „Samopomoc Chłopska". Plany te określają wartość produkcji wg. ilości, asortymentu i wartości, wskaźniki techniczno-ekonomiczne, za patrzenie wydajność pracy, zatrudnienie plan zbytu, koszty własne, plan finansowy i plan inwestycyjny, a ponadto planowe zaopatrzenie rzemiosła, chałupnictwa i przemysłu prywatnego, szacunek wartości ich produkcji i zbyt w zakresie zakupu przez przemysł i handel uspołeczniony.

Jest to druga dziedzina poza rolnictwem, w której planowanie terenowe posiada duże możliwości aktywizacji terenów zaniedbanych oraz wzmocnienie zakresu gospodarki uspołecznionej na danym terenie. Zadaniem drobnego przemysłu jest produkcja uzupełniająca artykułów masowego zapotrzebowania, zwłaszcza artykułów, których brak odczuwa się na rynku miejscowym następnie wykorzystanie do produkcji miejscowych zasobów surowcowych, których nie wykorzystuje przemysł wielki, w szczególności surowców mineralnych do produkcji materiałów budowlanych, surowców odpadkowych przemysłu wielkiego oraz niewykorzystanych surowców rolniczych i leśnych. Drugim zadaniem tego przemysłu jest aktywizacja kobiet i w ogóle wykorzystanie miejscowych zasobów siły roboczej np. w małych zaniedbanych osiedlach i miasteczkach, zwłaszcza na terenach, posiadających duże nadwyżki ludności rolniczej. Wreszcie trzecim zadaniem przemysłu drobnego, podlegającego planowaniu terenowemu, jest organizacja planowej uspołecznionej produkcji dóbr i usług rzemieślniczych dla obsługi ludności pracującej i uniezależnienia jej od wyzysku ze strony rzemiosła prywatnego. W okresie planu 6-letniego socjalistyczny przemysł drobny otrzymał szczególnie wysokie zadania.

Czynniki biorące udział w planowaniu terenowym, muszą na ten dział zwrócić szczególną uwagę, aby w ramach przyznanych środków centralnie i ewentualnie wygospodarowanych, zaoszczędzonych lub zmobilizowanych terenowo — osiągnąć maksymalnie zwiększenie produkcji na drodze zwiększenia wydajności pracy, postępu technicznego, obniżki kosztów własnych produkcji, zwłaszcza w warunkach zużycia materiałowego. Mają tu szerokie pole do popisu wszyscy działacze terenowi. W tej dziedzinie bowiem kryją się jeszcze w terenie wielkie możliwości, które należy wyszukiwać i wprowadzać do planów terenowych.

Podobnie jest w dziedzinie obrotu towarowego, komunikacji, inwestycji itp. W związku z tym że plan 6-letni po uchwale sejmowej, przechodzi do rozpracowania terenowego na szczeblu wojewódzkim i kiedy równocześnie opracowywany jest terenowo projekt planu gospodarczego na 1951 rok, — przed całym aktywem wiejskim, gospodarczym, społecznym i politycznym, otwiera się wdzięczne pole działania przy rozdziale zadań ogólno-wojewódzkich we wszystkich dziedzinach na powiaty, gminy i mniejsze jednostki produkcyjne stosownie do potrzeb i możliwości aktywizacji terenów, zwłaszcza zacofanych.

Dopiero połączenie dwóch elementów: centralnego kierownictwa, które ustala właściwe proporcje rozwoju wszystkich dziedzin życia gospodarczego z aktywnym planowaniem terenowym da w rezultacie tę rewolucję społeczno-gospodarczą i kulturalną, o której mówi tak wyraźnie Plan Sześcioletni.

Bolesław Kuźmicz



[illegible] w Spółdzielni Prod. Stoszyce

MARIAN JAWORSKI

WALKA O PLAN ROZGRYWA SIĘ W GROMADZIE

(Fragmenty referatu Sekretarza Generalnego ZSCh wygłoszonego w dniu 14 sierpnia r. b. na plenarnym posiedzeniu Zarządu Głównego Związku Samopomocy Chłopskiej w Warszawie).

Dotychczasowe osiągnięcia produkcyjne w rolnictwie w warunkach władzy ludowej dowodzą, iż poważne zadania, które stawia przed rolnictwem plan 6-letni, będą wykonane.

Dla wykonania planów produkcyjnych w rolnictwie konieczne jest stałe podnoszenie wydajności z ha i stałe poprawianie jakości hodowli i wydajności jednostkowej zwierząt.

Przewidziane planem 6-letnim podniesienie wydajności z ha, niemożliwe w warunkach gospodarki kapitalistycznej, jest możliwe w naszych warunkach. Jest możliwe przez maksymalne stosowanie i upowszechnianie nowoczesnej kultury rolniczej, to jest stosowanie w oparciu o osiągnięcia Związku Radzieckiego nowych zdobyczy naukowych agrotechnicznych i agrobiologicznych.

Jest możliwe przez stosowanie w coraz szerszym zakresie coraz nowocześniejszych maszyn i narzędzi rolniczych, które, zgodnie z planem 6-letnim, będą dostarczane rolnictwu przez państwo.

Jest możliwe przez stosowanie w coraz większym stopniu nawozów sztucznych, których dalszy wzrost produkcji zagwarantowany jest w planie 6-letnim.

WIELKA POMOC PAŃSTWA LUDOWEGO

Szybki postęp mechanizacji rolnictwa uwarunkowany jest faktem, iż w ciągu sześciu lat planu wieś otrzyma 61.000 traktorów. W ten sposób ilość traktorów wzrośnie pięciokrotnie, a przez lepsze wykorzystanie — praca ich wzrośnie sześciokrotnie.

Wartość maszyn rolniczych, dostarczonych rolnictwu do r. 1955, wzrośnie o 270 proc. w stosunku do roku 1949, przy czym około 70 proc. traktorów i 90 proc. maszyn rolniczych produkowanych będzie przez krajowy socjalistyczny przemysł.

W ciągu sześciu lat zostanie doprowadzony prąd elektryczny do 8.900 gromad, czyli w 8.900 gromadach zabłyśnie światło elektryczne. Siła elektryczna będzie wykorzystywana również do prac rolnych, ponieważ przewiduje się zaopatrzenie tych gromad, zwłaszcza dla zespołowego użytkowania, w silniki i urządzenia elektryczne.

Plan 6-letni przewiduje bardzo poważny wzrost zaopatrzenia rolnictwa w nawozy sztuczne, których w końcu sześciolecia na 1 ha zasianej powierzchni w kilogramach czystego składnika przypadnie o 127 proc. więcej, niż w roku 1948—1949. Będzie to prawie sześciokrotny wzrost w porównaniu z okresem przedwojennym. Jeżeli na przykład we Francji przed wojną zaopatrzenie rolnictwa w azot, fosfor i potas wynosiło 35.6 kg. na 1 ha zasiewów, to analogiczne zaopatrzenie rolnictwa u nas w końcu planu sześcioletniego wynosić będzie 40,1 kg.

Wszystko to wskazuje na wielką, wyrażoną w liczbach planu sześcioletniego, troskę P. Z. P. R. i Państwa Ludowego o dalszy rozwój i rozkwit rolnictwa. Wszystko to świadczy, że dla wykonania planów w rolnictwie przewidziana została odpowiednia baza techniczna, której pełne i należyte wykorzystanie gwarantuje realność tego planu. Pełne i należyte wykorzystanie przewidzianej planem 6-letnim bazy technicznej i coraz szersze stosowanie nowoczesnych zdobyczy nauki rolniczej, gwarantuje stały rozwój rolnictwa i ułatwi stopniowe przechodzenie chłopów z systemu indywidualnej, drobnotowarowej, zacofanej wytwórczości do systemu zespołowej, wielkotowarowej gospodarki rolnej.

POMYŚLNY ROZWÓJ SPÓŁDZIELCZOŚCI PRODUKCYJNEJ

Pomimo zohydzania socjalistycznego systemu gospodarki rolnej w Związku Radzieckim przed masami chłopskimi w Polsce przez burżuazję, przez obszarnictwo i kułactwo przed wojną, pomimo wyszydzania i pomniejszania wspaniałych osiągnięć radzieckiej gospodarki rolnej przez kułactwo i wszelkie inne niedobitki reakcji w Polsce obecnie podstawowe masy chłopskie dowiadują się prawdy o osiągnięciach chłopów radzieckich. Dowiadują się tej prawdy nie tylko z książek i z gazet, ale oglądając radziecką gospodarkę rolną własnymi oczami, oczami setek chłopów polskich, którzy odwiedzali gościnny i życzliwy Polsce Kraj Rad.

Dowiadując się prawdy o wspaniałych osiągnięciach chłopów radzieckich, i przekonywując się z własnego doświadczenia ostrej walki z kułackim wyzyskiem, chłopi polscy dochodzą do wniosku, iż przejście z drobnej gospodarki na zespołowe formy gospodarowania, to przełamanie bariery hamującej rozwój rolnictwa i stworzenie warunków dla niebywałego i nieosiągalnego w warunkach drobnej gospodarki, rozwoju produkcji rolniczej a tym samym dla bogatego i kulturalnego życia.

O wyższości zespołowych form gospodarowania i kłamstwach kułackich przekonają się masy chłopskie, widząc nowe polskie spółdzielnie produkcyjne.

Coraz liczniejsi chłopi rozumieją i doceniają wyższość zespołowych form gospodarowania, ponieważ widzą w tych formach całkowitą możliwość przeciwstawienia się kułactwu i wyzwolenia od kułackiego wyzysku.



Fragment budowy Ośrodka Szkoleniowego Ministerstwa Rolnictwa i domków doświadczalnych dla Spółdzielni Prod. na Ursynowie w Warszawie, gdzie pracują junacy S. P.

Coraz większego przekonania nabiorą przede wszystkim małorolni a także i średniorolni chłopi do zespołowych form gospodarowania, ponieważ klasa robotnicza wierny sojusznik i Polska Zjednoczona Partia Robotnicza, która walczyła i walczy w interesie podstawowych mas chłopskich, która w ciągu sześciu lat nie zawiodła w tej walce, wskazuje spółdzielczość produkcyjną jako jedyną drogę ostatecznej likwidacji wyzysku i budowania dobrobytu.

Coraz większego przekonania nabierają chłopi do zespołowych form gospodarowania, ponieważ Państwo Ludowe popiera inicjatywę drobnych i średnich gospodarzy w kierunku organizowania spółdzielni produkcyjnych.

Szczególnym wyrazem sojuszu robotniczo - chłopskiego i wielką pomocą ze strony państwa ludowego dla chłopów małorolnych i średniorolnych, zrzeszających się w spółdzielnie produkcyjne są państwowe ośrodki maszynowe, techniczna organizacja i polityczna baza rekonstrukcji rolnictwa. W planie sześcioletnim przewidziana jest rozbudowa POM do liczby 800, wyposażonych w 35 tysięcy traktorów.

Dlatego coraz szybciej rodzą się nowe spółdzielnie produkcyjne, a w oparciu o przewidzianą planem sześcioletnim bazę techniczną, podstawowe masy chłopskie tworzyć będą nowe setki i tysiące wielkich, nowoczesnych ośrodków gospodarki zespołowej.

WZMOŻENIE WALKI KLASOWEJ

Plan 6-letni stawiający przed masami pracującymi Polski ogromne zadania rozwoju gospodarczego i kulturalnego jest planem dalszego przeobrażania naszego kraju w kierunku socjalistycznym, czyli zbudowania fundamentów socjalizmu. Bez dalszej socjalizacji kraju nie byłyby możliwe te wielkie osiągnięcia produkcyjne, jakie nakłada plan. Budowanie fundamentów socjalizmu, to dalsze wypieranie, ograniczanie, a następnie i likwidacja elementów kapitalistycznych, jako klasy z życia gospodarczego i kulturalnego kraju.

Czyż taki plan może podobać się resztkom kapitalistów i reakcji w Polsce? Czyż taki plan może przypadać do smaku najliczniejszej jeszcze w Polsce warstwie kapitalistycznej—kułactwu? Oczywiście, nie! Niewątpliwie będą oni (kapitaliści i reakcja) rozmaitymi najpodlejszymi środkami walczyć przeciwko realizacji planu 6-letniego.

Dlatego walka o plan, zwłaszcza o plan w rolnictwie jest i będzie jednocześnie ostrą walką z wrogiem klasowym, z kułactwem.

Ażeby możliwie najwłaściwiej określić rolę Związku Samopomocy Chłopskiej w walce o wykonanie 6-letniego planu w rolnictwie, wydaje się koniecznym zwrócić uwagę na gromadę, na której Związek nasz musi skoncentrować wszystkie swoje wysiłki, aby ułatwić jej wykonywanie planów produkcyjnych.

O WŁAŚCIWE PLANOWANIE TERENOWE W GROMADZIE

Zadania produkcyjne dla wsi, przewidziane w ogólnych liczbach planem sześcioletnim, muszą być rozpracowywane i rozdzielane na województwa, powiaty i gminy i muszą być postawione w odpowiednim zakresie oraz przyjęte przez poszczególne gromady. Nie ulega wątpliwości, że opracowywanie tak zwanych oddolnych planów produkcyjnych na podstawie ustawy o planie 6-letnim, t. j. opracowywanie planów produkcyjnych w gromadach, należy do rzeczy trudnych ze względu na indywidualną, rozproszoną, drobnotowarową gospodarkę.

Planowanie zadań produkcyjnych na gromadę w sposób biurokratyczny, tzw. odgórny, w oderwaniu od miejscowych warunków, nie uwzględniający położenia ekonomicznego, glebowego, geograficznego gromady, nie uwzględniający całej rozmaitości gromad, rozmieszczenia ośrodków spożycia i przetwórstwa, tradycji i przyzwyczajeń miejscowej ludności bez udziału chłopów w gromadzie, jest zaprzeczeniem planowania i zamiast wciągać masy chłopskie i przyzwyczajać je do planowych form gospodarowania, szkodzi tej sprawie i szkodzi sprawie podnoszenia produkcji w rolnictwie.

Praktyka tegorocznych siewów wiosennych i związanego z nimi planowania, wykazała ogromne zainteresowanie, w jakim odniosła się nasza wieś do samego zagadnienia planu produkcji rolniczej. Świadczą o tym zainteresowaniu głosy bezstronnych obserwatorów, świadczą listy chłopskie, masowo otrzymywane przez redakcje pism, czytanych przez wieś. Lecz zarazem listy te częstokroć pełne są żalu właśnie z powodu częstego „odgórnego" narzucania zadań produkcyjnych dla gromad „pszez gminę i przez powiat" na skutek ich nieuzgodnienia na miejscu z przedstawicielami gromady, co nierzadko czyniło te plany nierealnymi, gdyż nie uwzględniały one konkretnych możliwości produkcyjnych gromady, co czasem wyrażało się w narzucaniu gromadzie niewłaściwych kierunków produkcji, albo w pomijaniu faktycznych możliwości produkcyjnych danej gromady.

Jest to dla nas niewątpliwie bardzo poważnym ostrzeżeniem. Mimo woli nasuwa się wniosek, że takie bezduszne i biurokratyczne podchodzenie do tej sprawy może doprowadzić do skompromitowania w oczach chłopów założeń planowej gospodarki. Plan w ten sposób opracowany zawsze zawierał liczne niedokładności i braki, a nieraz i rażące nonsensy; nie będzie on nigdy w całej pełni planem realnym, ponieważ nigdy taki projektodawca, urzędujący przy biurku, zdala od terenu, nie uchwyci (bo i nie będzie w stanie uchwycić) całej gamy, całej rozmaitości miejscowych warunków „Mamy — jak mówił słusznie minister Jędrychowski — takie centralistyczne i biurokratyczne wypaczania w planowaniu takich ważnych działów gospodarki narodowej, jak rolnictwo...".

Taki odgórnie narzucony plan nie potrafi nigdy wzbudzić entuzjazmu u chłopów w gromadzie, która w tych warunkach nigdy nie uzna takiego planu za swój, za taki plan, o realizację którego warto i trzeba się bić.

Związek Samopomocy Chłopskiej w trosce o realizację trudnych zadań produkcyjnych, wynikających z planu 6-letniego i w interesie małorolnych i średniorolnych chłopów, powinien podjąć walkę z tego rodzaju metodami planowania i dopomóc zarówno terenowym organom planującym, zwłaszcza na szczeblu gminnym, jak i chłopom w gromadach, aby plan i zadania produkcyjne rozpracowywane były w sposób właściwy i z udziałem chłopów — producentów w gromadach. W ten sposób zadania produkcyjne, wynikające z planu 6-letniego, będą odpowiadały możliwościom produkcyjnym gromady, obejmą i wykryją wszystkie nieujawnione dotąd i niewykorzystane możliwości i rezerwy oraz zostaną przyjęte przez małorolnych i średniorolnych chłopów z gromady, jako własne, o których wykonanie warto i trzeba się bić.

Marian Jaworski

JAN KOPROWSKI

Zapowiedź

W tym roku będzie urodzaj.
Żyto już w maju zakwitło
i chłopom średniego wzrostu
sięga do czół.
Szeleści śpiewna pogoda:
kłosy jak ciężkie chleby
od słonecznego nadmiaru
chylą się w dół.

Jeszcze lipiec nie zejdzie z pól,
gdy żyta do stodół pośpieszą.
O lato urodzaju,
lato chleba i snu,
które radość jak sztandar wywieszasz.

W naszym kraju coraz mniej pojedyńczych, samotnych kos
i ludzi z bezsiłą swych dłoni.
W naszym kraju — żniwiarek głos,
gwar kombajnów — stalowych koni.

Nasz kraj szeroką ma pierś —
chłopskie, ludowe pole.
Z tej piersi jak ze skały skrzesz
światło po mrokach niewoli.

Już człowiek nie stanie sam
bezradną na polu wiechą.
Ludzie podążą za ludźmi
pod słońcem jasnym.
Jak żytni szumiący łan
runą w potężnym uśmiechu
i nowy potoczy się krok
w słoneczne zaspy.

Już nie popłynie po skroniach strumienny pot,
samotny żniwiarz nie zetrze rzeki wezbranej z czoła.
Gromada jak ptaków chmura rozwinie lot
i zbierze pierwszy, dojrzały kołacz.

GROMADA O PLANIE SZEŚCIOLETNIM

JÓZEF BIENIEK

DRABINA DOBROBYTU I KULTURY

Tak plan sześcioletni rozumieją biedacy wiejscy: jako drabinę społeczno - gospodarczą i kulturalną, po której masy bez, mało i średniorolnego chłopstwa piąć się będą ku lepszemu. Tak rozumieją i dlatego się cieszą.

Województwo krakowskie otrzyma w wyniku realizacji planu 37 nowych obiektów przemysłowych. Trzydzieści siedem! Aby zrozumieć w pełni potężny sens tej cyfry trzeba rozpatrywać ją na tle specyficznych warunków i stosunków, jakie mimo reformy rolnej i dużego odpływu ludności do miast, czy na ziemie odzyskane — wciąż jeszcze na terenach wsi górskich istnieją.

Wezmę dla przykładu powiat limanowski, jako najbardziej dla tego typu zjawisk charakterystyczny, gdzie przeludnienie, rozdrobnienie gospodarstw, nędza i suma biedoty dochodzą do punktów kulminacyjnych. Oto struktura społeczno-gospodarcza tego powiatu:

Obszar ogólny — 95.199 ha w tym ziemi ornej — 38.728 ha, ilość gospodarstw — 22.236, w tym od 0 — 1 ha — 9.233, ludności wiejskiej 90.000, zakładów przemysłowych—8, ilość osób zatrudnionych w przemyśle — 700.

Nie trzeba mieć zbyt bujnej wyobraźni, ani zbyt wysoką wiedzę, aby zrozumieć tragizm takich cyfr i takiej sytuacji. 9.233 „gospodarstw" od 0— 1 ha, to 9.233 rodziny, to plus minus 40 tysięcy osób wegetujących, na beznadziejnie miniaturowych poletkach, beznadziejnie lichej górskiej ziemi. Nie mówiąc już o tych tysiącach, które klepią równie ciężką biedę na gospodareczkach od 1 — 3 ha.

Charakteruzyje to życie w sposób nie wymagający komentarza, głośne tu kiedyś powiedzonko: „gdyby pański pies żył jak limanowski chłop — wściekłby się dawno i zdechł".

Istnieje więc gwałtowna i nagląca potrzeba szukania radykalnych elementów profilaktycznych, któreby były w stanie raz na zawsze, racjonalnie i konsekwentnie zapobiec dalszej degeneracji społeczno - gospodarczej tych terenów i rozwiązać dręczące wieś tutejszą problemy. Oto właśnie zatroszczyli się twórcy planu sześcioletniego, postanawiając na terenie województwa krakowskiego zainstalować owe 37 zakładów przemysłowych, z Nową Hutą na czele. One to właśnie staną się dla tak licznych mas biedniackich Podhala ową drabiną awansu społecznego, gospodarczego i kulturalnego.

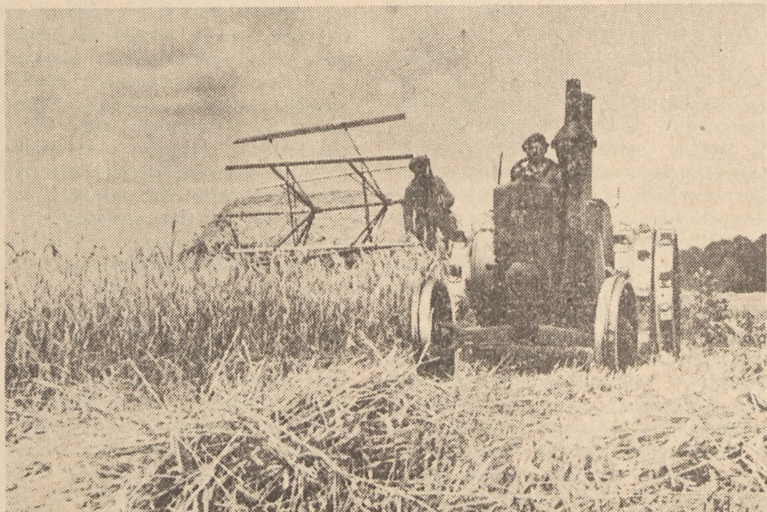
Wiąże się też problem ten najściślej z zagadnieniami przebudowy ustroju rolnego. Jest przecież jasne, że tereny na których dominującym typem gospodarki jest obiekt od 0 — 2 ha nie mogą tak długo stać się terenem intensywnej i racjonalnej organizacji nowych form gospodarki rolnej i bytowania chłopskiego, jak długo nie zaistnieją tu szerokie kanały dla odpływu z przeludnionych wsi jak największej ilości biedniackiego elementu. Tym kanałem będzie właśnie plan sześcioletni.

Te to właśnie momenty sprawiają, że o planie sześcioletnim w sferach biedoty wiejskiej myśli się i mówi dużo i jaknajbardziej pozytywnie. Z ufnością i nadzieją, ciepło i życzliwie. Jak o czymś bardzo drogim i ważnym. Właśnie tak, mimo ostrej kampanii ze strony elementów reakcyjnych, które zdając sobie sprawę z faktu, że plan, o który chodzi, stanie się dla nich też drabiną, ale do zejścia w dół — wytężają i wytężać będą wszystkie siły, aby postanowienia planu ośmieszyć, wykpić, zbagatelizować i poniżyć, a wiarę w niego podważyć i osłabić.

Nie znam szczegółowej dyslokacji obiektów zamierzonych w planie na tutejszym terenie. Słychać jednak, że w limanowskim nie powstanie żaden większy obiekt. Jeżeli to prawda — to prawda ta jest wynikiem pomyłki, lub nie zbyt dokładnej znajomości panujących tu warunków i stosunków.

Właśnie tu, wcześniej niż gdziekolwiek, winien stanąć duży zakład wytwórczy, jedna z owych 37 drabin, po której tak licznie tu biedacy mogliby wydostać się z dna niedoli na jasny brzeg dobrobytu. Właśnie tu, aby wspomnianych 9.233 bezrolnych i małorolnych znalazło ważką możliwość awansu do rangi najzwyklejszego człowieczeństwa. I właśnie tu, aby uwolniona od ciążaru zbędnych sił roboczych wieś, mogła przystąpić do rewolucyjnej przebudowy rolnictwa poprzez spółdzielczość produkcyjną.

Józef Bieniek



Żniwa w P. G. R. Racot woj. poznańskie.

STANISŁAW HERMAN

PLAN SZEŚCIOLETNI NIE ZAPOMNIAŁ O POWIECIE LIMANOWSKIM

Sprawa lokalizacji roszarni w m. Łososina Górna k/Limanowej trwała długo. Przemysł roszarniczy wybrał początkowo teren pod nową roszarnię w miejscowości Sucha na Żywiecczyźnie podczas gdy zdaniem czynników miejscowych jak Komitet Wojewódzki Partii, Wojewódzka Rada Narodowa, Wojewódzka Komisja Planowania Gospodarczego zakład ten winien być ulokowany na terenie powiatu limanowskiego, a konkretnie w miejscowości Łososina Górna pod Limanową. W wyniku bowiem wielkiego zaniedbania gospodarczego odziedziczonego po rządach kapitalistycznych rejon podgórski wymaga poważnej aktywizacji, która musi być dokonana w okresie planu 6-letniego. Ze wszystkich powiatów podgórskich woj. krakowskiego jedynie powiat limanowski nie uzyskał dotychczas żadnego poważniejszego z planowanych w sześciolatce zakładu przemysłowego, który mógłby zaktywizować go tak gospodarczo jak i politycznie. Na terenie limanowskiego w strukturze gospodarstw rolnych przeważają gospodarstwa karłowate, nie dające pełni utrzymania swoim właścicielom. Wyraźnie odczuwa się też brak mocnego ośrodka klasy robotniczej, co opóźnia zaktywizowanie się społeczne tego terenu. Naturalnie, opisany wyżej obraz nie stanowi cech charakterystycznych tylko powiatu limanowskiego; wszystkie te cechy dominują na całym Podgórzu, a więc też i na Żywiecczyźnie. Jednakże rejony Suchej, Żywca, Andrychowa są to tereny, na których praca na roli nie jest jedynym źródłem utrzymania rodzin rolniczych. Pracują oni w stosunkowo licznie występujących tam zakładach przemysłowych.

Przesłanka aktywizacji gospodarczej i społecznej winna mieć główne znaczenie przy lokalizacji omawianej roszarni.

Przemysł roszarniczy miał jednak wątpliwości i występował przeciwko tej propozycji z dwóch powodów: wszczął już pewne prace, mające na celu zlokalizowanie roszarni w Suchej, ponadto podchodząc do sprawy lokalizacji z pewnymi jeszcze tradycjami kapitalistycznymi, obawiał się trudności inwestowania na terenie dotychczas nieuprzemysłowionym, obawiał się także trudności związanych z utrzymaniem pracowników wykwalifikowanych przy zakładzie położonym w miejscowości nie zapewniającej im możliwości korzystania w pełni z urządzeń usługowych, pod którym to względem miasto Sucha w chwili obecnej przewyższa miasto Limanowę. Nie uwzględniono jednak w tej argumentacji tego, że właśnie zakład przemysłowy poprzez swoją lokalizację w miejscowości słabo zaktywizowanej gospodarczo powoduje rozwój ośrodka usługowego, który w pierwszym rzędzie ma służyć dla zaspakajania potrzeb pracowników tego zakładu, jednocześnie powodując wzrost obsługi pozostałej ludności.

Jednakże niektórzy fachowcy z przemysłu roszarniczego długo nie chcieli uznać słusznych argumentów czynników terenowych. Dopiero po komisyjnym obejrzeniu terenów i porównaniu ich wartości okazało się, że teren w miejscowości Łososina Górna koło Limanowej jest właśnie terenem idealnym dla lokalizacji roszarni, nawet patrząc nań od strony wymagań technicznych zakładu, podczas, gdy teren proponowany przez inwestora w Suchej okazał się terenem trudnym dla realizacji tego typu inwestycji. W związku z powyższym oraz biorąc pod uwagę przede wszystkim korzyści socjalne, wynikające z lokalizacji roszarni w Limanowej, po przekonaniu przedstawicieli przemysłu roszarniczego komisja zgodnie ustaliła, iż roszarnia, która miała być początkowo realizowana w innym miejscu województwa krakowskiego będzie się budować w miejscowości Łososina Górna koło Limanowej.

Z tego krótkiego przebiegu „bitwy o zakład" w woj. krakowskim widzimy jak poważne możliwości mają władze terenowe, szczególnie po ostatnio dokonanej ich reorganizacji i scaleniu w zakresie planowego oddziaływania na prawidłowe rozmieszczenie zakładów produkcyjnych na swoim terenie, a tym samym na aktywizację terenu. Tym bardziej jest to ważne, że tak jak to w powyższym wypadku miało miejsce, niektórzy fachowcy, działają jeszcze pod wpływem kapitalistycznych tradycji lokalizacji zakładu i nie uwzględniają w należytym stopniu jednej z głównych przesłanek planu 6-letniego, mówiącej o aktywizacji terenów zaniedbanych. Zrozumiałym jest, że liczba takich „fachowców" coraz bardziej maleje w związku z przychodzeniem nowych sił w drodze awansu społecznego oraz w wyniku przyswajania przez znaczną część inteligencji technicznej, o której mówił Prezydent Bolesław Bierut na IV Plenum KC PZPR, zasadniczych przesłanek socjalistycznego planowania.

Stanisław Herman

JÓZEF ANDRZEJ FRASIK

PIEŚŃ O NOWEJ HUCIE

Budujemy miosto nowe,
Budujemy Nową Hutę.
W zwojach drutu, w beton zakute
dźwigają się ściany pionowe.

Górą brygady robocze!
Murarska to rzecz i sprawa,
by murów rosła sława,
gdy nad murem sztandar trzepoce.

Górą bloki, czerwone ściany,
sława górom belek i cegły —
cegły z wapnem w mury się zbiegły:
stal, żelazo — i piach wiślany.

Sława ulicom nowym!
Betoniarki, łopaty, kielnie!
Drogi, sklepy — spółdzielnie
zamieniane w Czyn Lipcowy.

Sława wszystkim, każdej brygadzie,
murarzom, inżynierom sława:
Nasza wspólna to rzecz i sprawa,
gdy pod Hutę przyszłość się kładzie.

KAZIMIERZ BARTYZEL

WIEŚ MOJA MA TEŻ SWÓJ PLAN SZEŚCIOLETNI

Wieś Stanisław Dolny to jedna z większych gromad gminy Kalwaria Zebrzydowska, powiatu Wadowice woj. krakowskie. Na około 700 ha pagórkowatej iglastej, podmokłej, kwaśnej i do dziś resztkami lasów wydzieranej ziemi stoi 240 domów i domków, w których żyje wygodnie lub gnieździ się około 300 rodzin, dających w sumie pokaźną liczbę, bo około 1500 obywateli tej gromady. Dane liczbowe mówią wyraźnie, że wieś ta jak i wszystkie wsie podgórskie cierpi na przeludnienie i to bardzo znaczne, a jeżeli ludność miejscowa utrzymuje się na powierzchni życia, to zasługa nie tyle przewracania 2 razy do roku wąskich zagonów kopaczkami, ale przemysłu chałupniczego, który w tej okolicy istnieje od lat. Stolarstwo, szewstwo i krawiectwo mają w okolicy Kalwarii i w samej Kalwarii wyrobioną choć różną w ocenie opinię. Przemysł ten jednak ma ograniczone możliwości i nie ujęty do niedawna w ramy spółdzielczości i planowej gospodarki powodował różne kryzysy, a tym samym potęgował wyzysk przez silniejszych i sprytniejszych miejscowych kapitalistów. Dowodem tego może być fakt, że taki miejscowy potentat płacił chałupnikowi w r. 39 za uszycie pary spodni 20 gr. a pary butów 95 gr. Przybywanie ludności zarówno miejscowej jak i z bliskich gór nasyca ten teren do takich rozmiarów, że w każdym prawie domu są dziś ręce, szukające pracy.

Wskutek fatalnego położenia terenowego, co powoduje rozbicie wsi na odrębne przysiółki, wskutek przeludnienia i wskutek jakiejś dziwnej inercji wieś ta stoi dopiero w progu przemian. Brak jej ziemi, którą może dać tylko odpływ znacznej części ludności na Ziemie Zachodnie lub do pobliskich ognisk przemysłowych w Andrychowie, Kalwarii, Krakowie i Oświęcimiu. Brak drogi o trwałej nawierzchni do stacji kolejowej, brak szkoły gdyż obecną ruderę mieszczącą 270 dzieci, SP kursy rolnicze trudno nazwać szkołą, brak domu ludowego do zebrań, brak światła elektrycznego.

Droga, szkoła, światło to 3 słupy wokoło których ogniskuje się zagadnienie lepszego jutra wsi Stanisław Dolny.

Plan 6-letni dla tej wsi jak i dla wszystkich wsi woj. krakowskiego i rzeszowskiego to nie tylko błogosławieństwo jak się często słyszy, to po prostu konieczność, to kres nieopisanej przez długie dziesiątki lat tzw. „nędzy galicyjskiej". Na przykładzie wsi Stanisław Dolny widać olbrzymie i konieczne potrzeby i tych potrzeb nie zaspokoi żadna charytatywna akcja, tylko konkretny plan, którym w tym wypadku jest plan 6-letni.

Tak się jakoś szczęśliwie złożyło, że wieś opisywana jest na drodze do rozwiązania wszystkich nurtujących ją problemów.

I. Stolarze, szewcy, krawcy organizowani są planowo w tworzących się w pobliskiej Kalwarii spółdzielniach i nie potrzebują się obawiać ani kryzysów, ani zmiany.

II. Nadmiar ludności ma nieograniczony wprost odpływ do rosnących w oczach zakładów andrychowskich, oświęcimskich, chrzanowskich, Nowej Huty i wielu wielu innych. Nie walka o pracę, o chleb, beznadziejne czekanie co przyniesie jutro, ale walka o pracownika i o jego jakość— zaczyna być sprawą w całym województwie krakowskim.

III. Rozpoczęto budowę szosy Wadowice — Kraków i planowany odcinek do stacji uczynią naszą wieś atrakcyjno-letniskową. Drogi te w 1953 roku będą gotowe.

IV. Wapno pod nową szkołę zadołowane, kamienie się wozi i w planie 6-letnim ma stanąć piękny budynek, który pomieści nie tylko przedszkole (już istniejące), szkołę o 8 naucz. SP, kursy rolnicze, ale i salę teatralną i kinową dla całej ludności.

V. Światło, które oświeca dopiero krańcowe domy wsi, zabłyśnie przy końcu planu 6-letniego nawet w najbardziej zapadłej chacie. Wieś będzie zradiofonizowana.

VI. Ludność zajęta tylko rolnictwem na drodze spółdzielczości produkcyjnej ulepszy uprawę roli przez stosowanie lepszych maszyn i zwiększy hodowlę bydła. Dwie części nieużytków i lichych gruntów ulegnie zalesieniu, znikną moczary i bagna, lub obrócone będą na pastwiska, a reszta pójdzie pod żyto, ziemniaki i len.

To są rzeczy nie tylko wypisywane w planie 6-letnim ale już w tym roku realizowane i poza punktem IV nawet dość zaawansowane. Czy przebudowa ta nastąpi jednak tak gładko, szybko i bez przeszkód? Nie! Ogromny konserwatyzm chłopa, przeklęty spadek ustroju kapitalistycznego podtrzymywany przez wrogą propagandę, zacofanie i ogromną nieufność do wszelkich poczynań każą jeszcze długo i ciężko walczyć. Chłop podkrakowski jest jeszcze zacofany i głęboko schowany w cieniu kościoła. Zrobienie głupiego chodnika z płyt cementowych obok jego domu wymaga lat tłumaczenia i przekonywania, by odstąpił pół metra ziemi i by ułożył przed swoim domem parędziesiąt płyt, ale by kupić chorągiew do kościoła i by ją tam gryzły mole i by świadczyła o jego pysze, to kwestia paru godzin. Czy jednak ten drastyczny, ale niestety autentyczny wypadek może dawać powód do przypuszczeń, że walka z uprzedzeniami chłopa będzie zbyt trudna? Nie.

Rośnie bowiem wpływ i Partii i Samopomocy Chłopskiej a najbardziej przekonują chłopów fakty konkretne. Powstanie nowego miasta koło Krakowa napawa robotnika twórczym zapałem i dumą. Chłopi odnosili się do tego dzieła z początku z nieufnością: czy aby to zrobią? Dopiero gdy widzą rosnące nowe domy, nowe fabryki zostają przekonani, a jeśli zostali przekonani to mocno i na zawsze. I dlatego chłopa tutejszego, tyle lat oszukiwanego przez rządy kapitalistyczne, Rząd Polski Ludowej przekonuje planem, bo za nim idą fakty. Mówią mu o nim jego własne dzieci czy sąsiadów, że w Andrychowie, w Oświęcimiu, w Nowej Hucie, już dziś jest to a to, a nad Dunajcem będzie się robić tamto i zaczyna rozumieć, że uprzedzenie jego powodowane było często szeptaną wrogą propagandą. Zaryzykowałbym twierdzenie, że zawiezienie chłopa do Nowej Huty, do Oświęcimia bardziej go przekona jak długie rozumowanie. Polska Ludowa nie musi już przekonywać, Polska Ludowa ma co pokazać, ma czym przekonać i to jest radosne, że te namacalne dowody rosną i mnożą się.

Wielu ludzi w Polsce zasłużyło sobie na pomniki i wdzięczność u potomnych. Do tych zasłużonych dojdzie jedno nazwisko, człowieka, który pierwszy rzucił myśl stworzenia Nowej Huty, człowieka który decyzją tą zlikwidował problem „nędzy galicyjskiej".

Taki pomnik wystawi mu kiedyś Stanisław Dolny i podobne jemu tysiące. Oby każda dzielnica Polski miała takiego bohatera.

Kazimierz Bartyzel

STANISŁAW KRAKOWIAK

CHŁOPI GMINY ŁAZANÓW O PLANIE 6-LETNIM

Kiedy chłopi z gminy Łazanów czytają lub rozmawiają o Planie 6-letnim nie wątpią w jego realizację. Przekonali się namacalnie, we własnym terenie, że nie możliwe staje się możliwością. Plan Ttrzyletni gminy został wykonany i przekroczony.

Mieliśmy też swój planik trzyletni gminy — mówi *Marusik Władysław* — działacz społeczny b. wójt a obecnie prezes Gminnej Spółdzielni. Trzeba było przecież zbliżyć Trzyletni Plan do naszego środowiska, do ludzi a szczególnie do tych wątpiących niedowiarków, PSL-owcy ze wsi Łazanów i Popielawy podśmiewali się z planu państwowego i z naszego gminnego. A jednak i ich wciągnęło i ani spostrzegli jak włączyli się do budowy przystanku kolejowego Łaznów, do elektryfikacji i radiofonizacji. Dziś zębami i pazurami broniliby zdobyczy, z których korzystają. Mają się czym pochwalić przed chłopami z gminy Będków, Ciosny czy Mikołajowa.

Ignacy Stasio kilkuhektarowy gospodarz z Rokicin mówi: „Chłopa przekonasz faktami. Rozumie on Plan państwowy, gdy o nim czyta czy rozmawia. Ale plan państwowy staje się chłopskim, kiedy chłop widzi, że na jego podwórku we wsi, gminie zmienia się z roku na rok, że się buduje szkoły, powstają dziecińce, Ośrodki maszynowe, sklepy spółdzielcze, załączają radio, światło..."

A *Misiak Józef* małorolny chłop z Rokicin często powtarza: „Jeżeli w trzy lata na naszym gminnym podwórku założyliśmy i szkołę średnią, i Agencję Pocztową w Popielawach, przystanek kolejowy Łazanów, targowicę ZSCH, bursę TBS i przeprowadzono w kilku gromadach radiofonizację, telefonizację i elektryfikację, to dwa, trzy razy więcej zrobimy w planie sześcioletnim w naszej gminie i Polsce!"

Kuchta Maria średniorolna gospodyni z Rokicin jest niezmordowaną działaczką w swojej wsi i gminie. Przed wojną pracowała w „Wiciach". Teraz w Kole Gospodyń i w Radzie Gminnej. Należy do ZSL-u. Ta drobna, energiczna kobieta pojmuje plan 6 letni jako poważne, trudne ale nie zatrudne zadanie.

„Plan sześcioletni — to tak jakby szkoła średnia. Tamten trzyletni — to jakby powszechna. Trzeba mocno zabrać się do pracy. Nie bać się plotek i głupstw. Dorabiamy się i dokształcamy. Ale egzamin musimy zdać celująco! Trzeba tylko w mojej wsi, w sąsiednich i pewno w całej Polsce inaczej podejść do ludzi. Szukać trzeba sposobów dojścia do ludzi. Nie należy komenderować! W tworzeniu faktów gospodarczych, w uświadomieniu, w sąsiedzkiej dobrej współpracy i agitacji leży klucz przeobrażeń duchowych chłopa.

„Ja wiem — ciągnie dalej Kuchta Maria" — że lepiej, o całe niebo lepiej będzie w zespołowych gospodarstwach. Ale chciałabym, abyśmy przede wszystkim przy pomocy Partii, rządu naszego dopilnowali i uzdrowili stosunki panujące w gminnych spółdzielniach, przy których szerzy się pijaństwo (Łazanowska Wola,) marnują się towary, źle są obsługiwani klienci, brak kontroli poszczególnych sklepów, a przecież najlepsza nawet robota musi być kontrolowana. Ludzie patrzą na te kwiatki, gorszą się i zniechęcają. Dlaczego to partia w gminie Łazanów nie widzi spekulantów i łazików, którzy nie orzą ani sieją, a żyją i dobrze żyją. Dlaczego M. O. nie ściga za potajemnymi knajpkami, które demoralizują, osłabiają rozum i siły ludzkie do pracy?

Potrzebny jest dobry Ośrodek Maszynowy, piekarnia spółdzielcza, magiel, dzieciniec, świetlica, kino, ośrodek zdrowia. Potrzeba, aby ZSCH kierował młodzież do szkół rolniczych gdyż wszyscy idą do miasta do zawodowych. A i tu na wsi potrzeba dobrych agronomów i techników.

Straszą nas bogacze Planem Sześcioletnim — mówił jeden z nadziałowców z Popielaw — ale my się nie boimy. Spółdzielnia produkcyjna u nas niedługo będzie. Pomogły nam w te żniwa maszyny z Ośrodka. Sprzątnęliśmy zboże prędzej niż bogacze! To nas przekonało!

Plan Sześcioletni stał się dla bogaczy i spekulantów w naszej gminie zmorą grzebiącą ich w dzień i w nocy. Oni najlepiej ten plan znają. Wiedzą, że wtedy gdy będzie się budować w Polsce a na wsi w szczególności podstawy socjalizmu — skończy się ich panowanie. Muszą się zabrać do uczciwej pracy. Póki mogą straszą wahających się średniaków i uległych im biedniaków. Niektórzy mało i średniorolni chłopi z Popielaw również nie mogą spać po nocach, bo jeszcze nie rozumieją korzyści dla siebie z tych wszystkich przemian rewolucyjnych jakie zapowiada Plan 6-letni. Wszystkie uroczystości rodzinne, chrzciny, wesela, pogrzeby są przepełnione rozmowami na ten temat.

Rozsądniejsi chłopi z Łazanowa i z Rokocin śmieją się po cichu z obałamuconych Popielawiaków, którzy nie chcieli założyć nawet dziecińca w te żniwa. Wygrał na tym Łazanów. Około 70 dzieci korzysta z opieki i wyżywienia. Ułatwia to rodzicom pracę w polu. W roku szkolnym czynne jest przedszkole w Łazanowie. Coraz lepiej rozwija się Koło Gospodyń, ZSCH, zlewnia mleka, ZMP itd. Kto wie czy Łazanów nie pierwszy pójdzie do spółdzielni produkcyjnej niż Popielawy.

Chłopi naszej gminy nie wątpią w to, że o 50 proc. podnieść można, tak jak Plan przewiduje produkcję rolną. „Jeśli będą nawozy, jeśli będzie dobry agronom i rejonizacja w uprawach — przy gospodarce zespołowej da się to zrobić".

W naszej okolicy przewiduje się zwiększenie upraw pszenicy i jęczmienia zimowego. Kobiety i co świetlejsi gospodarze chcą podnieść uprawę roślin przemysłowych: len, konopie, rzepak. Planowanie zasiewów wiosennych czy obecnie jesiennych nie natrafia na większe trudności. Ludzie bowiem stopniowo przekonują się o słuszności planowania.

Bogatsi gospodarze, bojkotują kontraktowanie zbóż, okopowych, i trzody chlewnej. Wywożą wyprodukowane towary do bliskiej Łodzi na wolny rynek. Co czwartek nocą skrzypią ich wozy i mrugają nikłe światła latarek. Sprzedają tam drożej i śmieją się i jedzą sąsiadów. W Ujeździe ostatnio sprzedawali po 3 800 zł za 1 q żyta!

Chłopi w naszej okolicy mało (23 proc.) i średniorolni (72 proc.) nie dają sobą kręcić, z dnia na dzień utrwala się w nich przekonanie o trwałości i sile władzy ludowej, że ta władza stwarza warunki jaknajlepszego rozwoju dla ich dzieci, które się kształcą w szkołach i pracują w fabrykach. Że ta władza robotniczo-chłopska buduje, organizuje uczy, pomaga, rządzi po chłopsku po gospodarsku.

Trzeba tylko przyznać, że organizacje partyjne i społeczno gospodarcze za mało upowszechniają plan sześcioletni wśród ludności. A w akcji tej wziąć powinna udział i PZPR i ZSL i Rada Gminna, ZSCH, KGW i ZMP. Aby chłop z Rokicin, Popielaw, Michałowa żył Planem państwowym 6-letnim musi widzieć go „koło siebie" w swojej gminie i wsi.

Trzeba dać mu radość realizowania mniejszego wiejskiego, czy gminnego planu w oparciu o wielki Plan Państwowy. O tym powinni wiedzieć działacze wiejscy, aktyw środowiska wiejskiego.

Stanisław Krakowiak

JAN ŁAZARZ

W WALCE O ŚWIETLICĘ *) 11

Aby spełnić wielkie zadania, które przed organizatorami kulturalno-oświatowymi na wsi stawia wciąż przekształcająca się rzeczywistość, trzeba przezwyciężyć kilka zasadniczych przeszkód. Zatrzymam się nad dwiema sprawami, które dotąd nie znalazły rozwiązania: nad sprawą zabezpieczenia podstaw finansowych akcji kulturalno oświatowej na wsi i nad sprawą kadr.

Związki Zawodowe prócz jednego budżetu, że tak powiem „dyspozycyjnego", w ręku C.R.Z.Z. mają jeszcze drugi budżet w postaci świadczeń zakładów przemysłowych obowiązanych dostarczać lokale dla świetlic, urządzenia dla nich, opał, światło, zobowiązanych także do udzielania urlopów pracownikom na okres przeszkolenia świetlicowego. „Pierwszy" z tych budżetów wieś posiada w postaci bardzo skromnego i nie pokrywającego potrzeb — budżetu Związku Samopomocy Chłopskiej. Drugiego w praktyce nie ma (o teoretycznym jego istnieniu będzie mowa dalej). Wielu ludziom wydaje się, że gromada wiejska powinna z własnych środków utrzymywać świetlicę. Przy braku znajomości rzeczywistych warunków na wsi założenie to wygląda słusznie. Jeśli chodzi o jednorazowy, nawet bardzo poważny wysiłek, np. wybudowanie domu na świetlicę, napotykamy setki przykładów dużej ofiarności wsi, dobrowolnego opodatkowania w gotówce i robociźnie. Ale przypuśćmy, że wybudowano już dom ludowy i teraz, aby opłacić światło, zbiera się składki, aby kupić opał — chodzi się od domu do domu, zbiera pieniądze, prosi o wóz i konie (15—30 km. nikt chętnie nie jedzie, brak już jest tych bodźców, jakie są przy budowie, kiedy cała gromada pracuje), kołacze do G.R.N., do spółdzielni itp. Przy tym świetlica ma też inne wydatki: na dekoracje, kostiumy, książki, urządzenie wnętrza, od mebli do firanek. Wydatki te sięgają nieraz poważnych sum.

W konsekwencji większa część energii organizatorów życia świetlicowego zużywa się na zabiegi gospodarcze. Do pracy kulturalno-oświatowej, bardziej skomplikowanej, wymagającej przygotowania rzeczowego, przemyśleń, drobiazgowej systematyczności i związanej z walką ideologiczną dla pokonania oporów ze strony elementów kułacko-klerykalnych, przychodzi najczęściej aktywista zaabsorbowany zagadnieniami finansowymi świetlicy. Praca ciągle się rwie, ponieważ świetlicy grozi zamknięcie z braku opału, z powodu niedostatecznego remontu itp. Wreszcie „zarobkowe" nastawienie świetlicy wypacza treść jej pracy, skłania do urządzania zabaw dochodowych, z których zyski otrzymuje się najczęściej z bufetu alkoholowego, ponieważ bilety wstępu ledwie pozwalają na zapłacenie muzyki.

Jeśli dodać, że 90 proc. kierowników świetlic gromadzkich nie pobiera żadnego wynagrodzenia, to znacznie mniej zaczyna dziwić niski poziom pracy w świetlicach.

Samowystarczalność gospodarcza świetlicy jest możliwa dopiero po dłuższym okresie dobrej pracy, kiedy świetlica zdobędzie uznanie w gromadzie, wychowa szerszy aktyw. Nawet w spółdzielni produkcyjnej nie od razu można obciążyć gospodarkę spółdzielczą wydatkami na świetlicę. Spółdzielnia, inwestująca w pierwszym okresie duże środki w rozbudowę gospodarki; budowę budynków gospodarczych, zakup maszyn, narzędzi, czy zarodowego bydła, nie może z miejsca podejmować remontów, zakupić sprzętu świetlicowego, opłacać pracownika — bez pomocy z zewnątrz.

Słowem trzeba tak postawić zabezpieczenie materialne świetlic, aby uwolnić nieliczną kadrę kulturalno-oświatową i nieliczny jeszcze aktyw od stałej troski o fundusze dla utrzymania lokalu w stanie używalności.

Jak wspomniano, budżet na te cele teoretycznie istnieje — składają się na niego: sumy z budżetów Rad Narodowych na cele kulturalne, 10 proc. czystego dochodu Gminnych Spółdzielni „Samopomoc Chłopska", które walne zebrania mają prawo przeznaczyć na ten cel, jak również część premii za przedterminowe wpłaty podatku gruntowego i FOR-u, oczywiście tylko wtedy jeśli Gminna Rada Narodowa uchwali takie właśnie zużytkowanie premii.

Praktycznie jednak te sumy, które powinny stanowić bardzo poważne, w setki milionów złotych idące pozycje *), albo wcale, nie są wykorzystane, albo w minimalnym stopniu.

W okresie walnych zebrań spółdzielczych w roku ubiegłym stwierdzono, że uchwały o zużytkowaniu 10 proc. na cele kulturalno oświatowe podejmowane były bardzo rzadko. Miejscowi działacze-spółdzielcy kładli nacisk na wykorzystanie funduszów co do grosza na inwestycje gospodarcze spółdzielni. Nie jest też rozwiązana sprawa kontroli celowości wydatkowania tych pieniędzy, jeżeli już zostały przekazane na cele kulturalno-oświatowe.

Podobnie jest z kwotami w budżetach gmin. Charakterystyczne jest, że praca chłopska odnotowuje wypadki przekazywania pieniędzy na cele związane z ruchem świetlicowym z budżetów G.R.N., premii i dochodów spółdzielni, jako zjawiska występujące stosunkowo rzadko.

Zdarzyło mi się w dyskusji nad zagadnieniem podstaw finansowych naszych świetlic wiejskich spotkać się z opinią, że należało by się zastanowić nad jakimś podatkiem komunalnym na cele kulturalno-oświatowe. Masowe świadczenia chłopów przy budowie, remoncie i utrzymaniu świetlic, zdają się mówić, że podatek taki byłby na wsi zrozumiany. Skądinąd propozycje te mają pozór rozpaczliwego wniosku oświatowca, który wypróbował już wszystkie dostępne środki dla zaopatrzenia świetlic, a mimo to ma ich w powiecie 50—60 bez stołu, stołka, szafki, szyb, piecyka itp. Nie znając wszystkich za i przeciw oraz możliwości czerpania z innych źródeł trudno jest wniosek zaopiniować. Faktem jest, że został wysunięty.

Rozstrzygnięcie tych spraw i przejście od rozważań do wykonawstwa stworzyło by trwałą podstawę pracy tam, gdzie do tej pory panuje partyzantka.

* * *

Drugim podstawowym brakiem jest nierozwiązana sprawa kadr.

Zacznijmy od szczebla najniższego — od kierowników świetlic. Po długich rozważaniach przyjęto w zeszłym roku zasadę opłacania kierowników świetlic. Praktyka bowiem wykazała niezbicie, że w skali masowej w obecnych warunkach nie uda się pokierować pracą w świetlicach, jeśli wszystkie funkcje w świetlicy nie będą wynagradzane. Płatnemu kierownikowi można stawiać wymagania co do kierunku pracy, co do wykonania określonego programu, co do systematyczności w pracy. Spodziewano się także, że wynagrodzenie za pracę potrafi zapobiec niepożądanej ucieczce przeszkolonych kierowników świetlic. Praktyka wykazywała bowiem że większość z nich odchodziła ze świetlic wkrótce po przeszkoleniu. Przeszkolenie na kursach i kilkumiesięczna praca w świetlicy stwarzały im szanse uzyskania pracy zarobkowej w licznych instytucjach gospodarczych i społecznych w gminie i powiecie: w spółdzielniach, zarządach gminnych, organach administracji rolnej w SP i WF.

Na skutek takiej sytuacji ustalono wynagrodzenie dla kierowników świetlic w wysokości 7.500 zł. miesięcznie. Było to jednak połowiczne załatwienie sprawy. Uważano, że opłata nie powinna być za duża, bo najpierw — były wątpliwości, czy wyniki pracy kierownika świetlicy usprawiedliwią większy wydatek, a następnie — trzeba było ze względu na ograniczone możliwości finansowe wybrać złoty środek między dwoma alternatywami: opłacania większej ilości kierowników świetlic, czy wyższego uposażenia dla mniejszej ich liczby. Pod koniec 1949 r. zatrudniono już płatnego kierownika co w dziesiątej świetlicy.

Praktyka opłacania kierowników świetlic wykazała, że jakkolwiek poziom pracy w tych świetlicach podniósł się w porównaniu z resztą to jednak odpływu ludzi ze świetlic nadal nie udało się zahamować. Np. w województwie kieleckim z 30 przeszkolonych i zatrudnionych kierowników świetlic pozostało 12.

Zaczęto dyskutować ponownie, czy w ogóle należy opłacać kierowników świetlic. Wysunięto znowu wszystkie stare argumenty przemawiające za przywróceniem zasady czysto „społecznego" charakteru pracy kierownika świetlicy, dodając do nich nowe, że i opłacani kierownicy świetlic nie wywiązywali się z obowiązków w tym stopniu, w jakim oczekiwano.

* * *

Istnieją roczne kursy świetlicowe. Kandydaci na te kursy mają posiadać średnie wykształcenie, lub wykazać się równoważnym poziomem wiedzy i wyrobienia społecznego. Na kursy zgłasza się niewielu kandydatów. Dlaczego? W instrukcji o rekrutacji nie ma słowa o tym, jakie absolwent będzie miał perspektywy w przyszłości. Kto na wsi mając średnie wykształcenie pójdzie na taki kurs zamiast na wyższą uczelnię lub do dobrze płatnej pracy w spółdzielni? A na co może liczyć po kursie? na 7.500 zł., jako kierownik świetlicy wiejskiej!

Okaże się może, że będzie dostateczna ilość zgłoszeń na kursy. Zachodzi jednak obawa, że zgłoszą się ludzie, nie zawsze kierowani chęcią poświęcenia się pracy oświatowej. Będą to ludzie różni, przeważnie tacy, którzy ze względu na trudności materialne, rodzinne i t. p. przerwali naukę przed maturą. Pójdą na kurs z myślą, że będą się uczyć za darmo, otrzymają bezpłatne utrzymanie, a później przy pierwszej sposobności przejdą do zawodów, dających im źródło utrzymania. Z tego rodzaju słuchaczami kursów można się zetknąć bardzo często, np. w zeszłym roku po 3 mies. kursie teatralnym Min. Kultury i Sztuki w Jadwisinie.

Jeśli chce się mieć kadrowy aktyw oświatowy na wsi trzeba mu stworzyć perspektywy — **trzeba stworzyć zawód oświatowca na prawach podobnych do praw niewykwalifikowanych nauczycieli szkół podstawowych, z obowiązkiem kształcenia się w trakcie pracy.**

Ministerstwo Oświaty i Związek Samopomocy Chłopskiej wstąpiły już na słuszną drogę szkolenia absolwentów liceów pedagogicznych specjalnie do pracy w świetlicy dla dorosłych. W tym roku zostanie przeszkolonych 600 absolwentów. Rozszerzenie tej akcji na wszystkich wstępujących do zawodu nauczycielskiego to następny ważny krok na drodze przygotowania kadr oświatowych. Trzeba koniecznie zrobić jeszcze jeden krok i włączyć to szkolenie do programu nauczania w liceach, jako specjalny przedmiot. Ale przeszkolenie nie jest wszystkim. **Aby praca nauczycieli w świetlicy dała maksymalny wynik trzeba wzmóc pracę z nimi, nie wolno pozostawiać ich sam na sam ze wszystkimi trudnościami. Trzeba wzmóc szkolenie specjalizujące nauczycieli w określonych dziedzinach pracy kulturalno - oświatowej na kursach w miesiącach letnich, trzeba żeby podinspektorzy oświaty dorosłych lepiej niż dotychczas pracowali z nauczycielstwem, żeby udzielali** wskazówek, żeby wizytowali

(dokończenie na str. 6-ej.)

*) Proste obliczenie: 3.000 gmin po 100.000 zł. daje okrągłą sumę trzystu milionów.



Czytelnia w Domu Lenina w Białym Dunajcu

KAZIMIERZ BRZUSZEK

ŚWIETLICA I PARTIA

Nasza wieś ma piękną, słowiańską nazwę — Nowe Sioło. Leży w powiecie Wałbrzych, nad polsko-czeską granicą. Zamieszkuje ją ludność przybyła tu z rozmaitych części Polski i byłych województw zachodnich. Nowe Sioło liczy 250 mieszkańców. Połowa to chłopi — rolnicy, drugie tyle to robotnicy pracujący w odległym o 2 km. Mieroszowie.

Świetlica w Nowym Siole już od 1946 roku, to jest od chwili otwarcia była przedmiotem ostrej walki klasowej. Na uroczystość otwarcia zaprosili PSL-owcy kilku lepszych gości — okolicznych spryciarzy i szabrowników oraz księdza. Polska Partia Robotnicza wydelegowała do prac świetlicowych aktywistę — Forysiaka. Ksiądz pokropił wodą salę, następnie dobrana kompania zasiadła do picia wódki. Wybuchła sprzeczka, Forysiak i kilku innych chłopów postępowych zostało pobitych. Świetlica dostała się w ręce PSL-owców. W rezultacie, po szumnym otwarciu — aż do 1948 roku świeciła pustkami. Nasz wróg klasowy był zbyt słaby na to, aby uczynić świetlicę bezpośrednim narzędziem walki z postępem. Był jednak dość silny aby przez dwa lata zahamować wszelką jej pracę.

W świetlicy zbierali się „mikołajczykowcy" i różni inni handlowali trochę wódką. Śmietanka gromadzka a z nimi pan sołtys grywali zimą w karty. Tu powstawały i szły na wieś opowiadania, że „walka klasowa jest niepotrzebna, ponieważ bogatym też jest ciężko. Ani parobka znaleźć, ani się od podatków odpędzić". Tu właśnie wyhodowano bajkę o jedności stanu rolniczego.

Od roku 1948 wiele się zmieniło. Szabrowników, handlarzy mieniem społecznym — zlikwidowały władze. Forysiak i inni z podstawowej organizacji demaskowali systematycznie kilku chłopów — spekulantów. Wybrano nowy zarząd gromadzkiego koła ZSCH. Forysiak został prezesem. Wraz ze zwycięstwem Partii ożywiła się świetlica. Pokazało się od razu komu życie kulturalne i polityczne Nowego Sioła leży na sercu. Parę zebranych od ludzi książek stanowiło zawiązek biblioteki.

Urządziliśmy zbiórkę na radioodbiornik, który stale odtąd ściąga tu chłopów i robotników na wieczory świetlicowe.

W roku 1949 postarała się Samopomoc Chłopska o nowe książki. Biblioteka liczy dziś 200 książek. W roku 1947 prenumerowali u nas ludzie 20 egzemplarzy pism, przeważnie klerykalnych. Obecnie przychodzi do czytelników z Nowego Sioła 30 egz. „Gromady", 10 egz. „Przyjaciółki' i 5 egz. „Rolnika Polskiego". Prócz tego robotnicy prenumerują w zakładach pracy gazety, przeważnie organy partyjne, lub Związków Zawodowych.

Biblioteka nasza zanotowała w ciągu ostatnich 12 miesięcy 1 250 wypożyczeń. Książki wymienia się z Miejską biblioteką w Mieroszowie. Prawda, że książki czytają w większej części robotnicy, jest to element dojrzały. Rok pracy w fabryce, przynależność do Partii, czy Związku robi swoje. Ale np. „Matkę" Gorkiego czytano niemal w każdym chłopskim domu.

Jaką rolę spełnia nasza świetlica? Na razie jeszcze nie wielką. Lokal służy głównie na zebrania gromadzkie. Brak nam kwalifikowanego świetlicowca. We wsi każdy prawie gdzieś należy, albo do koła ZMP, ZSCh, czy Partii, ale kierownik świetlicy to jest umiejętność specjalna! Kto to taki powinien być? Myślę, że nasz ZMP-owiec z Nowego Sioła, odpowiednio wykształcony. Teraz wierzymy, że uda nam się go wyszkolić, na V Plenum Partii mówiło się o tym.

Obecnie organizujemy już zespół dobrego czytania, składający się z byłych analfabetów. Chcemy uruchomić klub dyskusyjny nad przeczytanymi książkami.

Muszę jednak powiedzieć, że na razie jesteśmy samotni. W ciągu dwóch lat był jeden jedyny raz na kontroli inspektor kulturalno-oświatowy. Praca w świetlicy nie powinna być doraźnie kontrolowana, lecz w sposób ciągły i stały. Naszym ludziom trzeba dać instruktarza, pomóc przy rozruszaniu roboty, a dopiero po tym zapisać świetlicę do statystyki. Inspektor zrobił tylko to ostatnie. Figurujemy na papierze, a w praktyce dopiero zaczynamy. Partia zwyciężyła na wsi, pozwoliła uruchomić świetlicę, dopomoże nam na pewno do wykształcenia kadry — aktywu świetlicowego.

Kazimierz Brzuszek

Zagadnienia

STANISŁAW GĘBALA

NASZA SWIETLICA

1.

Niedawno temu odnalazłem w miejscowej bibliotece mocno nadszarpnięty egzemplarz „Sprawozdania Akademickiego Koła TSL w Krakowie", z którego dowiedziałem się, że już w roku 1910 istniała w naszej wsi czytelnia. Odnalazłem także świadków i pierwszych czytelników z owych czasów, kiedy to „patron" wsi śp. ks. Sapecki podjeżdżał bryczułką przed lokal czytelni, a chłopi witali go na progu tak długo aż ktoś tam wewnątrz zdążył pochować wszystkie egzemplarze „Prawa Ludu" i „Latarni".

Przez długi czas świetlica miała dwa oblicza: jedno oficjalne, urzędowe, drugie zakryte przed władzami i „patronami", nielegalne. Tak też było przez cały okres II Rzeczpospolitej. Zaraz po I wojnie światowej świetlica zaczęła przejawiać bardziej ożywioną działalność. Był to okres osławionej „Republiki Tarnobrzeskiej", kiedy czytelnicy schodzili się do lokalu wprost z warty, z karabinami na plecach. Wtedy właśnie gromada wybudowała dom ludowy w którym znalazła pomieszczenia świetlica.

W ciągu dwudziestolecia międzywojennego świetlica nosiła różne nazwy: raz była czytelnią K. R., innym razem świetlicą Ochotniczej Straży Pożarnej, to znów Koła Młodzieży Wiejskiej. Pracą świetlicową jednak kierowały zawsze „Wici". Tu układano projekty walki z policją i ze starostwem, tu padały słowa buntu, tu także Michał Krajewski kolportował lewicowe pisma i wygłaszał pogadanki. W roku 1938 świetlica miała dwie biblioteki: jedną oficjalną na pokaz, drugą konspiracyjną, przechowywaną potajemnie wśród książek zakazanych był również „Manifest Komunistyczny".

2.

Wieś o 840 mieszkańcach liczy 260 pracowników budowlanych i w pełni docenia znaczenie świetlicy. Ściany świetlicy ozdabia dziś 21 portretów przodowników budowlanych z portretem Michała Krajewskiego po środku. Przodownicy ci w nagrodę za nowatorstwo i racjonalizatorstwo budowlane otrzymali z funduszu akcji socjalnej PPB. środki na urządzenie w domu ludowym przedszkola.

W niedzielę po południu schodzą się do świetlicy robotnicy budowlani, chłopi. Przodownik pracy Siembida rozmawia gdzieś na uboczu o orce z chłopem Madejem, którego syn również jest przodownikiem budowlanym. Koł. świetlicowa proponuje jednym szachy, to znowu organizuje konkurs dobrego czytania. Padają nagle pytania: jak to było z tymi 18 tysiącami cegły? Jak to było z 400 proc. normy?

Toczy się w świetlicy rozmowa o przodownikach pracy, racjonalizatorstwie, budownictwie socjalistycznym. Omawia się walkę klasową. Czasami syn krytykuje ojca, czasami dojdzie do ostrej wymiany zdań — robotnicy i małorolni chłopi stawiają sprawę spółdzielni produkcyjnej. Nowe tematy, nowe życie.

I nikt już nie chowa jak przed 30 laty i jak przed wojną w okresie sanacji książek i pism obrazujących wysiłek robotników i chłopów w walce z wrogiem klasowym. Leżą na stole egzemplarze TRYBUNY LUDU, CHŁOPSKIEJ DROGI, WOLI LUDU, TRYBUNY WOLNOŚCI, NOWEJ KULTURY I WSI. Pisma przechodzą z rąk do rąk, pogrubiałe od pracy palce przewracają kartę za kartą nowego życia...

Stanisław Gębala.



Świetlica przedszkola Spółdz. Prod. w Rybnie pow. morski.

ZDZISŁAW KUBALSKI

ŻNI

Zaraz po podwieczorku, składającym się z pajdy razowca i zsiadłego mleka, Franek urwał kosę.

Licho wie, o co zahaczył czubem — o kępę perzu, czy o przyorany korzeń, czy po prostu za nisko puścił — dość, że kosa trzasła tuż przy piętce.

— Ścierwo! — zaklął, opierając się bezradnie na kosisku. Józia została daleko w tyle, bo cięli najlepszy kawałek i odbieranie z wiązaniem szło ciężko. Pracowała zajadle, nie prostując grzbietu i dopiero, gdy niemal głową nie uderzyła w plecy siedzącego Franka, spostrzegła, że nie kosi.

— A coś już ustał?

Bez słowa pokazał palcem na leżącą kosę.

— Boże mój jedyny! — krzyknęła kobieta — Taka kosa!

Siedem pięćdziesiąt jak jeden grosz... i co teraz...?

— Dziś już nic... — mruknął zafrasowany — poustawiamy.

Trza jutro złapać od kogoś na godzinę...



— A kto ci teraz da, chłopie... Boże mój... a to i jęczmień już biały. Aj, jejej...! Siedem pięćdziesiąt... — wpiła czarne palce w rozczochrane włosy, patrząc na zerwaną kosę, jak na trupa kogoś najdroższego.

Było się i o co martwić.

Od dwóch miesięcy, odkąd zapuściła krowa, w chałupie nie mieli ani grosza. Już kilkakrotnie pożyczała Józia od Czubowej po złotówce, najczęściej na zeszyty dla Halinki. Od wakacji chociaż z tym był spokój i to na stałe, bo Halinkę za to, że nie zdała, postanowili więcej do szkoły nie posyłać. „Szkoda pieniędzy i czasu — orzekł Franek — pójdzie do krów, do Czapskiego."

Franek już zapomniał o smaku „kowbojów". Palił po prostu różne liście. W fajce to „szło"... Najlepsze ścierwa to leszczynowe z suchą naciną ameryków — mówił do Józi, która słuchała tego podobnie, jak słucha się szelestu drzew w czasie jesiennej wichury.

Ciężki przednówek mieli już prawie poza sobą. Od św. Jana Józia podgrzebywała już ameryki „do garnka", zboża już doszły — kosili, wszystko więc zapowiadało się weselej, gdy w tem masz — takie nieszczęście! A rano jeszcze Franek gładził błyszczącą kosę mamrocząc: Pokosisz ty wiele żyta ludziskom, parę piątek sprowadzisz do domu...

— Ścierwo! — zaklął po raz nie wiedzieć który i wziął się do ustawiania kopek.

Wieczorem zaszedł na podwórze Czapski.

Zobaczyli go przez okno i oboje jednakowo zadrżeli ze strachu, czy nie przyszedł upominać się o resztę groszy za zwózkę siana.

Nie wszedł do mieszkania, a tylko zastukał mocno w okiennicę.

— Franciszku! Wyjdźcie no...

W jednej chwili chłop był już na podwórzu. Józia skryta za drzwiami sieni podsłuchiwała. „Wyzyskiwaczu, pasibrzuchu" — syczała nie wiedzieć czemu i zaciskała pięści.

Lecz Czapski przyszedł z inną sprawą.

— Przyjdźcie jutro do kosy, dobra — powiedział tonem, wykluczającym dyskusję. Będę ciął żniwiarką, ale pod lasem, na glinkach zwalone po deszczu... wolę kosą.

— Dobrze... ja... widzicie takie nieszczęście... zerwałem dziś kosę— mamrotał Franek.

— Hm... no jak pokosicie u ludzi, to zarobicie na nową.

— A no... — w głosie Franka zadrgała nuta otuchy.

Może z tamtym zaczeka — myślał.

Nie przypuszczał Franek, że u Czapskiego cały tydzień będzie kosił. Tymczasem tak się stało. Chłop był do roboty chętny i pilny. Lubił takich Czapski. A gdy już zobaczył jak kładzie Franek pokosa, tak wziął go do jęczmienia i nasiennej seradeli.

— Takiemu to wiesz za co płacisz — zwierzał się Czapski do żony — robi jak głupi, za dwóch — śmiał się...

— Bo i za dwóch — dodała poważnie aptekarzówna, zaglądając mu w oczy.

— Już ty znów... — zżymnął się, lecz po chwili dokończył chytrze: ważne jest to, że zawsze siedzi u mnie w kieszeni i do roboty kiedy chcę musi przyjść.

Niedokoszony u Franków kawałek żyta Józia zerżnęła sierpem. Zajęło jej to pół dnia czasu.

— Widzisz — mówiła Frankowi — to i dobrze, że u Czapskiego pokosisz kilka dni. Koni da do zwózki, a przecie z tym zawsze najgorszy kłopot. Zboże schnie jak pieprz. Z poniedziałku będą wozić jak nic... taki upał...

A upał rzeczywiście był niesamowity.

Wytrzymałe były nań grzbiety takich jak Franek, którzy kosili od świtu do nocy zboża chroniących się w cieniu...

W niedzielę, widać i słonko zachciało razem z ludźmi odpoczywać, bo wyszło jakieś blade, porudziałe, jak gdyby zanurzone w mętnej wodzie. Po sumie widać już było wyraźnie, że ma sie na deszcz. Nikt jednak w pole nie wyjeżdżał. Kazanie proboszcza odniosło skutek. O — na taki dzień czekał od dawna. Odkąd dowiedział się o „wojnie", którą prowadzi głuchowski proboszcz z „Wiciarzami" i „komunistycznymi bezbożnikami" zląkł się o swoją parafię.

Czekał tylko okazji aby spróbować swoich sił i uspokoić się. Oka-

świetlicowe

BRONISŁAW GÓRALIK

O RUCHU ŚWIETLICOWYM NA WSI ŚLĄSKIEJ

Często słyszeć można narzekania i sarkania kierowników zespołów świetlicowych i działaczy oświatowych z terenów Dolnego i Górnego Śląska, że prasa skąpo mówi o ich sukcesach i osiągnięciach. A przecież — jak powszechnie wiadomo w eliminacjach ogólnokrajowych na czołowych miejscach upiasowały się zespoły artystyczne i chóralne z terenów Ziem Odzyskanych. Nie jest tajemnicą, że na festiwalu Sztuk Radzieckich wyróżnił się wybitnie zespół świetlicowy z Bąkowa pow. Namysłów. Dlaczego tak mało podkreśla się rezultaty pracy naszych zespołów ZSCH? Nie jest to bynajmniej jedyny zespół, który wybił się na czoło w eliminacjach warszawskich. Dolny i Górny Śląsk poszczycić się może całym szeregiem świetnie zapowiadających się zespołów. I tak szeroko znany już jest na tutejszych terenach zespół taneczny ZSCH ze Stabrawy pow. Brzeg, zespół z Kraszowic pow. Świdnica, z Dolnika pow. Bystrzyca, ze Strugi pow. Wałbrzych, zespół teatralny z Mirkowa pow. Oleśnica, który na krajowej eliminacji w Warszawie za inscenizację wiersza Majakowskiego pt. „Marsz październikowy" uzyskał pierwsze miejsce, oraz wybijający się zespół teatralny i orkiestralny Zespołowej Naprawy Maszyn Rolniczych w Łabinowicach, który odniósł zasłużone sukcesy w Poznaniu na Międzynarodowych Targach. Wszystkie te zespoły, w wysokim stopniu przysługują się sprawie upowszechnienia kultury i oświaty na wsi śląskiej.

Aby sobie w pełni zdać sprawę z osiągnięć na odcinku świetlicowym należy cofnąć się o rok wstecz, kiedy było tu tylko do zanotowania 233 zarejestrowanych świetlic, 72 bibliotek, i 14 zespołów artystycznych. Na przestrzeni roku poczyniono ogromny krok naprzód. Przy końcu rocznej pracy na odcinku kulturalno-oświatowym zarejestrowano aż 605 świetlic, 323 zespoły artystyczne, 387 bibliotek, 61 zespołów dobrego czytania, 20 zespołów samokształceniowych, 379 kursów dla analfabetów, zorganizowanych przez ZSCH, — 20 powiatowych kół prelegentów, — 1 ośrodek szkoleniowy, jeden Uniwersytet Ludowy na Dolnym Śląsku i dwa na Górnym (Opolszczyzna) i 4 Uniwersytety Niedzielne.

Nie są to osiągnięcia przeciętne. Widać tu wielki wysiłek ludzi, działaczy kulturalno-oświatowych ZSCH, którzy starają się usilnie, by dźwignąć wieś tutejszą na wyższy poziom życia kulturalnego. Z planu pracy nakreślonego na rb. widać jaskrawo, jakie ambicje posiada ZSCH na obszarze Dolnego i Górnego Śląska. Z 800 projektowanych świetlic na rok 1950 około połowa już jest zarejestrowanych, z 387 bibliotek blisko trzecia część została uruchomiona. Dalej plan przewiduje utworzenie 373 zespołów artystycznych, 60 zespołów Wszechnicy Radiowej, 320 zespołów gazetki ściennej, 200 zespołów dobrego czytania, 800 zespołów oświaty rolniczej, 400 kursów dla analfabetów. Większość prac już jest wykonana. W związku z rosnącym rozwojem spółdzielni produkcyjnych kładzie się duży nacisk na zagadnienie zakładania wzorowych świetlic przy spółdzielniach. Każdy dzień przynosi nowe wyniki w walce o lepsze oblicze kulturalne wsi. Motorem jednak wszelkich poczynań na odcinku świetlicowym są kadry dobrze przeszkolonych i świadomych swych zadań aktywistów i działaczy kulturalno - oświatowych.

W roku 1949 zostało przeszkolonych 354 aktywistów ZSCH, 57 kierowników świetlic, około 240 nauczycieli do walki z analfabetyzmem, zradiofonizowano 97 świetlic. Oprócz tego przeprowadzono z własnych funduszów uzyskanych drogą imprez remont świetlic w 420 gromadach, rozumiejąc, że są one ośrodkiem wokół którego skupia się całość życia politycznego, społecznego i kulturalnego mieszkańców. I tak np. w powiecie Świdnica, gminy wyasygnowały łącznie półtora miliona złotych na gruntowne remonty świetlic gromadzkich. Podobny ruch daje się zauważyć w powiecie Kłodzkim. W gromadzie Ludwikowice zespół świetlicowy zaofiarował swą pracę przy remoncie domu ludowego na sumę przewyższającą wartość 200.000 zł.

W powiecie Trzebnica gromada Pawłów, korzystając z pracy zespołu świetlicowego, zaoszczędziła blisko ćwierć miliona złotych.

Poważną bolączką o charakterze ogólnym to brak sztuk polskich dla teatralnych zespołów świetlicowych. Zauważa się, że prawie we wszystkich świetlicach aż do znudzenia obrabiana jest jednoaktówka polska „Wesele Jagny". Czyż Związek Literatów nie jest w stanie dostarczyć dla świetlic wiejskich rozsianych na terenie całego kraju lepszego repertuaru? Z pewnością tak nie jest...

Z dużym zadowoleniem obserwujemy wzmagający się ruch łączności miasta ze wsią. Zacieśnia się więź braterska między mieszkańcem miasta a chłopem. Przejawia się to zwłaszcza w częstych wzajemnych odwiedzinach, w częstych wizytach jednych u drugich. Jeszcze mało jednak w ramach tego ruchu pomaga się świetlicy wiejskiej. Sądzę, że gdyby każde przedsiębiorstwo, każda fabryka wzięła pod opiekę chociaż jedną gromadę, jedną świetlicę — praca nabrałaby zgoła innego wyrazu i innego tempa.

Bronisław Góralik

MARIAN SIENNY

DROGA PRZEZ WALKĘ

O naszej świetlicy piszę już trzeci raz. Najpierw, blisko rok temu donosiłem „Rolnikowi Polskiemu", że nie mamy świetlicy. Następnie pisałem do „Trybuny Wolności", prosząc o pomoc. Redakcja interweniowała w powiecie. Wysłany lustrator stwierdził, że świetlica jest, ponieważ pokazano mu lokal z napisem „Świetlica". Figurujemy zatem od przeszło dwu lat w statystyce, podczas gdy naprawdę pracujemy w świetlicy dopiero od dwóch miesięcy.

Kiedy pisałem do wspomnianych pism nie rozumiałem jeszcze dlaczego życie kulturalno-społeczne naszej wsi przez dłuższy czas prawie nie istniało.

Smolne leży pośród wielkich lasów, na lichej żytnio-kartoflanej ziemi, z daleka od miast, ważniejszych dróg i linii kolejowych. Nie zatrzymuje się tu żaden autobus, do najbliższej stacji kolejowej — 15 km. 370 mieszkańców Smolnego kontaktuje się ze „światem" na piechotę. Kina objazdowe, ruchome teatry, prelegenci partyjni czy ZMP, literaci, deklamatorzy przyjeżdżają głównie do wsi leżących na dogodnych szlakach komunikacyjnych. Aż do ostatnich miesięcy nie widzieliśmy w naszych stronach ekip ruchu łączności. Na małych, karłowatych gospodarstwach toczy się indywidualne, prywatne życie rodzin chłopskich. Stan ten pogłębia niewątpliwie zły rozkład 44 gospodarstw naszej wsi. Trzy długie, odległe znacznie od siebie kolonie są niezelektryfikowane, pozostałe części wsi korzystają ze światła elektrycznego, ale nie wykorzystują jego znaczenia dla rozwoju kultury. Nie ma się co dziwić. Znaczna część chłopów przybyłych tu w roku 1947 pochodzi z Podkarpacia. Byli to prawdziwi nędzarze, wegetujący na 1-nej mordze wraz z licznymi rodzinami, element nie mający dotąd żadnych możliwości udziału w życiu kulturalnym. Z nich wyłącznie rekrutują się analfabeci — starzy i młodzi. Było ich w roku 1947 ponad 60-ciu. Są jeszcze nawet dziś rodziny nie umiejące od najmłodszych do najstarszych ani czytać ani pisać. Np. Borkowie — 12 osób — członków rodziny to analfabeci.

Nie wiele pomogła czteroklasowa szkoła w Smolnym. Dzieci kończyły przeciętnie 3 — 4 oddziały, rzadko które z nich wysyłali ojcowie do miast na dalszą naukę. Podobnie jest ze mną. Ukończyłem 4 oddziały, umiem czytać i pisać, ale dalej się nie uczę. Ojciec nie chce pozwolić. Posyła mnie za to na „uniwersytet krowiego ogona" Pasę u nas, przede wszystkim jednak u bogatego Śliwińskiego. Ojciec, jak zresztą i inni gospodarze, powołuje się chętnie na przykład dziadka, który do szkół nie chodził, a przecież dorobił się na tyle, że starczyło „po troszku" dla wszystkich dzieci.

Narazie niewielu analfabetów nauczyło się w Smolnym czytać i pisać. Zaledwie 25-ciu. Z nich ledwo 15-stu czyta od czasu do czasu gazety. Do książek nie zaglądają. Śliwiński powiada, że analfabeta powinien umieć podpisać się przy pobieraniu pożyczki lub na kwicie, więcej mu nie trzeba.

Świetlica jest nawet od 1947 roku, ale życia kulturalnego nie było przez kilka lat. W kwietniu br. chciałem koniecznie doprowadzić lokal świetlicowy do porządku. Miał to być czyn 1-szo Majowy naszego koła ZMP. Koledzy podjęli zgodnie uchwałę, ale zaraz na drugi dzień po podjęciu zobowiązania rozeszła się po wsi wieść, że jestem płatnym agitatorem, który chce użyć świetlicy do wywoływania nastrojów buntu młodych przeciw starym. Szkliłem okna, szorowałem podłogę, dekorowałem ściany przy pomocy kilku zaledwie ZMP-owców.

Książek u nas nikt prawie nie czytał, gazety prenumerują nieliczni, raczej dla świętego spokoju, kiedy już nie mogą wymówić się przed naszym energicznym listonoszem.

Przez długi okres czasu nie potrafiłem odkryć drogi prowadzącej do pełnego życia kulturalnego w Smolnym. Myślałem po prostu, że ludzie, którzy tu w leśną okolicę pościągali z różnych stron Polski urodzili się z niechęcią do książki, prasy, radia, nauki. Stosunek do kultury uznawałem wtedy za wrodzony.

Sprawa odsłoniła się na zebraniu gromadzkim, kiedy to postawiłem na porządku dziennym sprawę uruchomienia świetlicy. Sam pan Sołtys spiorunował mnie publicznie. Oświadczył, że ludzie muszą przede wszystkim pracować, wykonać plany zakontraktowanych dostaw, świetlica to zmarnowanie drogocennego czasu produkcyjnego, szkodliwe odrywanie od pracy. Tak się zręcznie zastawiał potrzebami ludowego państwa, że ani go zaatakować. Sołtysowi przytakiwał Śliwiński, bogaty— 15 hektarowy chłop, ten sam, który przestrzega już od kilku lat przed czytaniem nowości i agitatorami za spółdzielczą gospodarkę. Obaj z sołtysem zgodnie orzekli, że Smolne nie ma warunków na uruchomienie świetlicy, ale kiedy przyjechał lustrator, pokazali mu wyremontowany przez nas lokal.

Zrozumieliśmy wtedy w gronie ZMP-owców, że sołtys i bogacze to są ludzie, którzy nie chcą rozwoju kultury w naszej wsi i mają w tym swój polityczny interes. Uwidoczniło się to zwłaszcza przy zbieraniu podpisu pod Apelem Sztokholmskim. Chociaż wioska jest mała, liczy zaledwie 44 gospodarstw, to jednak akcja zbierania podpisów trwała przeszło tydzień. Śliwiński wtedy dopiero pokazał co potrafi. Opowiadał, że tylko po to uczono analfabetów czytać i pisać, aby teraz podpisywali Apel. Cztery pełne dni trwała walka o 25 podpisów byłych analfabetów. Walkę wygraliśmy. Skrzypniakowa, bogata krewniaczka Śliwińskiego agitowała wśród kobiet: podpisy odetną od Apelu i przykleją na deklaracji przeciwko Panu Bogu. I świetlica stała się przedmiotem ataków.

Walkę o pokój wygraliśmy. Apelu nie podpisali Śliwiński, dawny sołtys (mamy obecnie innego — z Partii) Walewski, Skrzypniakowa i czterech gospodarzy, uzależnionych ekonomicznie od bogaczy. Wynieśliśmy z tego okresu bardzo poważne doświadczenia. Chłopi są zacofani — to prawda, ale nie dlatego, że tacy się urodzili. Tkwią głęboko korzeniami w zastarzałych formach społeczno-gospodarczego życia. Na starej bazie trzyma się stara nadbudowa. Czy jednak chłopi chcą rzeczywiście żyć w zacofaniu, bez książki, prasy, radia, kultury? Nikt w to nie uwierzy. Zachowanie drobnokapitalistycznych stosunków na wsi, starej bazy, leży w interesie Śliwińskiego, Walewskiego, Skrzypniakowej i innych bogaczy. Walewski to dobry matematyk. Wyliczył np. mojemu ojcu, że za wypożyczenie konia do obróbki naszego pola — musi brać 1.000 złotych za dzień — inaczej nie da rady. Natomiast ja muszę za konia odpracować 3 dni. Koń Walewskiego kosztuje 1.000 złotych dziennie, człowiek natomiast niewiele więcej niż 300 zł. A gdybyśmy urządzili w świetlicy kurs oświaty rolniczej, pomówili o ośrodku maszynowym i rzeczywiście maszyny sprowadzili — cała matematyka bogacza zawiodłaby z miejsca. Dlatego zwalcza on świetlicę, której z drugiej strony nie zapomina nigdy umieścić w oficjalnej statystyce.

Jest jasne że problem aktywizacji życia społeczno-gospodarczego w naszej wsi nie da się oddzielić od walki klasowej. Rozegranie tej walki, rozgromienie bogaczy-wsteczników, oznaczać będzie w naszych warunkach bujny wzrost życia świetlicowego. Droga do kultury prowadzi poprzez walkę klasową. Uświadomiliśmy to sobie dopiero dwa miesiące temu. Ale dwa miesiące to kawał czasu.

W czasie żniw zjechała do nas ekipa robotnicza ZMP-owców licealistów do pomocy przy koszeniu i zbiorach. Ojciec już nie wynajmował konia do zwózki, podobnie rodzina analfabetów Borków. Ojciec zmienił zdanie na temat bogacza Walewskiego, nazywa go wyzyskiwaczem, chociaż sądził, że ekipę przywiózł do Smolnego czysty przypadek. Trzech członków ekipy postanowiło zostać u nas przez cały sierpień. Wytłumaczyli oni nie tylko ojcu i Borkom ale całej okolicznej biedocie, że pomoc żniwna to nie przypadek, lecz nowa, stała forma lepszej, sprawniejszej organizacji produkcji rolnej. Borkowie chodzili do świetlicy na cykl wykładów poświęconych ruchowi łączności, i chociaż dopiero jesienią zetknął się z abecadłem, już teraz głoszą szeroko, że czas zerwać z trzymaniem się poły Walewskiego, Śliwińskiego, starej Skrzypniakowej i innych.

W Smolnym widać ścisłą zależność pomiędzy stanem walki klasowej a aktywnością życia świetlicowego. Zdobyliśmy dla „Gromady" kilkunastu rzeczywistych czytelników — równocześnie przestali ludzie wierzyć Walewskiemu. Przysłała Powiatowa Centrala snopowiązałkę — chłopi postanowili prawie natychmiast kształcić 8-miu ZMP-owców w zakresie obsługi maszyn rolniczych. Sami zaś słuchają pilnie w świetlicy audycji dla wsi.

Obecnie, w końcu lipca i początkach sierpnia zajęci jeszcze jesteśmy pracami w polu. Zbiera się trochę, sieje poplony. Ale wieczorami dyskutujemy o Planie 6-letnim. Przenosimy go na teren Smolnego. Chcemy wybudować duży dom ludowy, wyposażyć go w salę teatralną, uruchomić szereg kursów i zespołów samokształceniowych, zwłaszcza dla starszych.

Nie dał mi ojciec nauki, dam mu ją ja.

Marian Sienny

Dzieci członków Spółdzielni Produkcyjnej Naszkowice k/Wrocławia.

Repatrianci z Francji, członkowie Spółdzielni Prod. Stoszyce we własnej świetlicy.

W świetlicy młodzieżowej Spółdzielni Prod. Wietlin 3 w rzeszowskim.

W A*)

zja nadarzyła się akurat, kazanie nosił w „rękawie". Wiedział, że chłopi będą chcieli sprzątać zboże — choć niedziela. A więc z subtelną dyplomacją wygłosił przepiękne kazanie, zbudowane na trzecim przykazaniu i na tym, że „wszystko w ręku Boga". Proboszcz zagrał na psychice parafian, strunę naciągnął wysoko — i zwyciężył.

Jeden Gabrych wyjechał swoim wózkiem, do którego wprzęgał krowę. Przez okna patrzano na to, jak na dziwowisko. Zaczepić go jednak nikt nie śmiał — za bardzo go szanowali biedniacy, a nienawidzili lub bali się bogatsi.

— Ścierwo! — klął Franek. Pompa, a kto ci da konia, jak i sobie nikt nie wozi. Gabrych pojechał na krowie, to palcami go z daleka wytykają, mówiąc, że karę boską ściągnie na wieś.

— Franek, a jakby tak spróbować iść do Czapskiego... — zastanawiała się Józia.

— Czyś ty zwariowała...

— No... da nie da... co to szkodzi.

Zastanawiał się długo i... poszedł. Co będzie — to będzie, tonący brzytwy się chwyta.

Przez drogę obmyślił wszystko dokładnie, jak sprawę przedstawić, aby Czapskiego czasem nie rozgniewać.

Pełen nadziei i pokory brał za klamkę u drzwi Czapskiego. W kuchni nie było nikogo i nikt nie wychodził jakoś z pokoju, choć chrząknął dwa razy i zakasłał.

Minuty upływały...

Z poza drzwi dochodził ożywiony gwar rozmów i coś jak gdyby szczęk kieliszków. „A może to i lepiej — uczepił się nadziei Franek — przy obiedzie może lepszy humor ma i nijak mu będzie odmówić..."

Jakaś nagła odwaga pchnęła go naprzód.

Grubymi palcami zastukał mocno w drzwi.

— Proszę! — rozległy się jednocześnie dwa męskie głosy. Ktoś od wewnątrz pchnął drzwi, otwierając je na oścież i w tej samej chwlii Franek zobaczył najpierw siedzącego za stołem proboszcza, który ciekawie go mierzył wzrokiem.

Tego było za wiele. Zapomniawszy języka w gębie, nie spostrzegając nawet innych, siedzących przy stole, Franek nie wymamrotał nawet pół słowa, rzucił się raptownie w tył, uciekł...

Józia nie spała całą noc.

Przewracała się z boku na bok nadsłuchując, czy nie zaczyna lać. Szczęśliwie jakoś noc przeszła bez deszczu, choć odległe błyskawice zwiastowały przechodzącą burzę. Kiedy rankiem wyjrzała i zobaczyła suchy piasek na podwórzu, chciało jej się śmiać z radości. Bo żyto — jak pieprz, gdyby tak deszcz, to połowa wymłócona — myślała, a tu każda garść ziarna tak ciężko wypracowana...

Groza deszczu wisiała jednak nadał nad polami. Skrzypiały wierzeje stodół, pochłaniając wyładowane zbożem wozy. Rozjaśniały dosytkiem sąsieki. Wizja jesieni nadpełzała po opustoszałych ścierniskach.

Czapski zaraz po wschodzie słońca zabębnił w szyby u Franków.

— Wstawajcie, Franciszku, przychodźcie do zwózki! Widać, że z nad kojca podnosi się rozczochrana głowa Franka, skinął palcem, przyzywając go do okna.

— A co wy tam wczoraj...?

— Ja... no tak... bąkał czerwieniąc Franek — właśnie przyszedłem pytać... czy mam przyjść do zwózki...

Umówili się, że „tak gdzieś przed wieczorem" pojadą dwoma wozami po żyto Frankowe, cały dzień zaś będą wozić Czapskiemu.

— Ile tam macie kop? — pytał Czapski.

— Czterdzieści dwie.

— O, to na dwa wozy i po strachu — śmiał się ubawiony Czapski. — U mnie samego żyta z pięćdziesiąt wozów, owies suchy, jęczmień...

Chmurno było.

Słońce ledwie widoczne, wyglądało jak plasterek ziemniaczany, pieczony na fajerkach przez Halinkę. Klekot wozów i skrzypy wierzej mieszały się z głosami ludzi. Biedniacy mający pola bliżej zabudowań, znosili zboże w płachtach.

Franek układał szary w stodole Czapskiego spocony, ledwie żywy. Wozy tak jakoś obracały na przemianę, że nie miał ani chwili wytchnienia.

— Ten ścierwo to tak kładzie szar, że mysz nie wejdzie — robili fachowe uwagi furmani Czapskiego.

Do obiadu obszerny sąsiek wypełniono po szczyt zbożem. Reszta miała być ułożona w brogu. Czapski wysłał teraz wozy po jęczmień. Właśnie jeden wyładowany wjechał akurat na klepisko, gdy o ściany i wierzeje uderzył znagła silny wiatr.

Tumany pyłu wzniosły się na drodze przesłaniając chałupy i pola i rozpoczęły jakieś dzikie, pełne grozy harce z unoszoną przez wiatr słomą.

— Zamknijta wierzeje — krzyknął furmanowi Franek, któremu sypnęło w oczy piaskiem. Słowa jego zagłuszył krótki grzmot, który był jak gdyby sygnałem dla nabrzmiałych chmur: lunął deszcz rzęsisty, ciężki, bezlitosny...

Zdzisław Kubalski

*) Fragment powieści p. t. „Dobroczyńcy".

Naprawimy świetlicę

Cała historia naszej świetlicy przedstawia się w ten sposób. Świetlica dla naszej gromady, organizacji partyjnej jest nie tylko miejscem rozrywki, ale miejscem walki. W świetlicy przez czytanie pism, gazet — przez rozmowy pogłębiamy swoją świadomość społeczno - polityczną. Jak trudna jest walka z wrogiem klasowym! Potrzebny jest do tej walki oręż, pisma polityczne i społeczne. Musimy wiedzieć jak wroga uderzyć, jak go zdemaskować.

Najczęstszym tematem naszych rozmów w świetlicy było ostatnio zbieranie podpisów pod apelem sztokholmskim. Słucham jak chłopi z trójek pokojowych mówią: „Gdy przyjdziesz do bezrolnego, małorolnego lub średniorolnego chłopa i powiesz, że przybyliśmy do Was, abyście podpisali apel pokoju, to każdy bierze ołówek do ręki i podpisuje, ojciec, matka, dzieci, a jeśli dziecko ojciec, matka, dzieci. A kułak mówi, że podpisy służą na kołchozy. A jak mu wyjaśniasz, to podpisze jedna osoba z domu, rodzina już nie."

Kułak jak przyjdzie do świetlicy to tak bierze do ręki gazety, jakby mu kto ręce sparzył. Widać od razu, że to wróg. Wykorzystujemy każdą chwilę w świetlicy, aby przez wspólne czytanie podnosić swoją wiedzę polityczną i społeczną.

Dawniej życie polityczne w naszej świetlicy było bardzo zachwiane. A teraz rozwija się lepiej. Do naszej świetlicy przychodzą wszyscy. Troską naszą jest tylko szczupłość lokalu świetlicowego. Świetlica zajmuje pół mieszkania, drugą połowę zamieszkuje rodzina chłopska. Jeśli przyjdzie nam zorganizować raz w miesiącu przedstawienie to można powiedzieć, że młodzież dusi się w lokalu świetlicowym. Tak samo dzieje się, kiedy przyjeżdża kino objazdowe.

Zastanówmy się, czy nie widać w tym ukrytej sprężyny wroga. Komu zależy na tym, aby nasza świetlica była taka szczupła. Stwierdzam, że we wsi są mieszkania próżne, można przeznaczyć jedno z nich dla tej rodziny chłopskiej, która zajmuje pół lokalu świetlicowego. Przez to uzyskamy nowe izby, większy lokal.

My zetempowcy i SP-wcy zobowiązujemy się do naprawy domu świetlicowego, bo wiemy jaką rolę odegrać może świetlica w życiu wsi.

W. Andrukiewicz

Przewodniczący ZMP

(Osada Nowy Dwór pow. Sokółka woj. Białostockie)

SŁAWOMIR ROGOWSKI

Z DZIEJÓW WSI*)

„Samotność" Mikołaja Wirty to powieść historyczna. Wypadki toczą się przed trzydziestu laty, ich konflikty należą już dzisiaj do przeszłości narodu radzieckiego, wielkiego przodownika walki. Czy wobec tego powieść ta nie wiąże się ze współczesnym życiem socjalistycznej wsi rosyjskiej? Oczywiście, że wiąże się, bo odzwierciedla boje, które toczyły się o socjalizm na wsi. Ale nie tylko dlatego. Powieść Wirty mówi, jak w ogniu rewolucji rodziła się głęboko humanistyczna, ludzka treść nowego ustroju, ukazuje sens dzisiejszych osiągnięć i dzisiejszej walki. I to nie tyle przez wydobycie wszystkich momentów zapowiadających przyszłość (chociaż tego bynajmniej w utworze nie brakuje), ile przede wszystkim przez wierne odtworzenie istoty tej rzeczywistości, która wówczas w Kraju Rad chyliła się ku bezwzględnej zagładzie. „Samotność" Wirty pisana w latach 1933—1935 podejmowała aktualną tematykę walki o wieś socjalitsyczną, wnikliwie obnażała klasowe konflikty w obrębie „jednolitej" rzekomo warstwy chłopskiej, piętnowała wyzysk kułacki i prawdziwy antyludzki, zgniły sens kułackich buntów w okresie, w którym zwycięski ruch kołchozowy upowszechnił się, kiedy „...kułacy zmienili taktykę. Nie strzelali już z obciętych karabinów, lecz udawali cichutkich, spokojnych, obłaskawionych, zupełnie prostych ludzi... Przenosili się do innych miejscowości, gdzie nikt ich nie znał i tam wciskali się do kołchozów, żeby szkodzić i psuć" (Hist. WKP(b) s. 359 i 358). Kiedy osamotnione, wyobcowane ze społeczeństwa niedobitki klasy kułackiej i jej poplecznicy wkraczali na drogę aktów dywersyjnych — powieść Wirty była narzędziem budzenia „prawdziwej bolszewickiej czujności rewolucyjnej", będącej równocześnie jakgdyby artystycznym komentarzem do konstytucji Stalinowskiej, głoszącej, że ZSRR jest socjalistycznym państwem robotników i chłopów, a społeczeństwo radzieckie składa się z dwóch bratnich klas: robotniczej i chłopskiej.

Autor bowiem snując przed czytelnikiem nasycone bogactwem obserwacji obrazy rzeczywistego życia wsi w okresie wojny domowej nie pozwala mu nigdy stracić z oczu istotnego sensu rozwijających się wydarzeń, prawdziwych sił wpływających na ich tok i energicznym skrótem co krok wydobywa na jaw przewijającą się w gąszczu faktów linię konieczności dziejowej. Jedną z takich spraw, o których niemal że nigdzie nie mówi się bezpośrednio, ale którą po prostu widać na każdej stronicy książki jest sprawa sojuszu robotniczo - chłopskiego. Wysunięcie tej sprawy na pierwsze miejsce tak, że jej rozwój decyduje o kierunku i przebiegu najszczegółowszych wypadków i powodzenie lub niepowodzenie działań bohaterów zależy od ich stosunku do tej sprawy, nadaje powieści Wirty przekonywującą zwięzłość dramatyczną. Powieść Wirty należy do tych, które się czyta „jednym tchem". Jest to jeszcze jeden przykład na tezę, że osiągnięcie artystyczne jest zawsze wynikiem słuszności ideowej i wiernego, niesfałszowanego oddania rzeczywistego życia. Głęboki realizm Wirty polega w tym wypadku nie tylko na ujęciu fabuły pod kątem widzenia sprawy, która dla wsi wyzwalającej się z kapitalistycznej niewoli jest kwestią na prawdę zasadniczą. Wirta dał znacznie więcej. Pokazał mianowicie jak się to dzieje, że sojusz robotniczo - chłopski jest koniecznością, jest sprawą życia i śmierci wsi.

„Otóż to jest właśnie rewolucja! — głośno mówi Lenin. — Trzech braci i trzy losy!".

Ludzie Wirty to nie indywidua wyjęte z kontekstu historycznego. Ich życie — to życie uczestników walki klasowej. Jej konflikty autor słusznie ostrzegł na [illegible] w bycie jednej chłopskiej rodziny. To wcale nie jest schemat, że Siemion, Piotr i Siergiej Starożew są typami średniaka, kułaka i wiejskiego proletariusza.

Ich zróżnicowanie jest prawidłowym odbiciem rozwoju kapitalizmu na wsi. Starszy brat, Siemion popadł w nędzę. Chociaż ręce urabiał po łokcie, nie mógł własną pracą przekształcić swego zagona w przedsiębiorstwo kapitalistyczne. Inaczej powiodło się Piotrowi. Dlaczego? Bo ożenek z Praskowią Wasjaniną, która miała liczne rodzeństwo, przysporzył mu wiele tanich rąk roboczych. „I tak żyli: dzieci Wasjaninów napełniały żołądki barszczem Starożewa, spichrze zaś jego pęczniały ich pracą". Młodszego syna, Siergieja, wzięto do wojska". Siergiej stał się potem bojownikiem rewolucji. Tak rozeszły się drogi trzech braci. W powieści Piotr Iwanowicz Starożew chłopski kapitalista jest jednym z głównych bohaterów. Tytuł wymienia kres, ku któremu zmierza jego życie. Siergiej jest także ważną postacią. Wypadł jednak trochę mniej wyraziście. Autor poświęcił mu nieco mniej uwagi ze względu na zasadniczy problem utworu, który wymagał rozbudowania akcji raczej wokół negatywnego bohatera. Siemion — ginie nam zupełnie z oczu, roztapia się najwidoczniej w masie biedoty i średniaków, z których przecież każdy i dziad Wasyl i Aleksander Afanasiewicz jest takim Siemionem Starożewem. Równolegle do historii Starożewów rozwijają się dzieje innej chłopskiej rodziny, mieszkającej w „Głupim Zaułku" ulicy dwosikowskich nędzarzy. Z chatki staruszki Aksinii wychodzą w świat dwaj bracia starszy Listrat i młodszy Lońka. Listrat został żołnierzem, czerwonogwardzistą. Losy tego zdecydowanego, świadomego proletariusza są podobne do dziejów życia Siergieja Starożewa. Inaczej stało się z Lońką.

Jeszcze w dzieciństwie oddała go matka do Piotra Starożewa ni to na syna ni to na parobka. Razem z Piotrem Lońka wyruszył w pole i walczył po stronie kułaków. Niewyraźna rola Lońki wyzyskiwanego przez kułaka w ramach jak gdyby rodzinnych stosunków tłumaczy to niemądre przywiązanie do Starożewa u lekkomyślnego niedoświadczonego chłopca. Kiedy Lońka zrozumiał prawdę, było już za późno. Już jego osobiste losy porwały tryby historii, bo między jednym a drugim nie ma i nie może być izolującej granicy. Tragedia Lońki i jego ukochanej Nataszy jest tragedią człowieka, który nie dostrzegał istoty toczących się wokół niego wypadków, nie dostrzegając swej rzeczywistej pozycji w społeczeństwie, miotany jest niby przez pełne grozy przypadki i złą wolę jednostek, a naprawdę popada w konflikt z rozwojem społecznym i jego wewnętrzne sprzeczności go druzgocą.

O jednej jeszcze rzeczy należy wspomnieć, skoro się mówi o Lońce. Trzeba mianowicie tutaj podkreślić szczegół dla metody artystycznej Wirty bardzo charakterystyczny. Zabarwienie ideowo-emocjonalne utworu wydobywa autor nie drogą jakichś pseudoestetycznych konstrukcji nie na przekór faktom lecz właśnie poprzez fakty. Postać Lońki jest węzłem wyzysku złączona z postacią kułaka Starożewa.

I to jest typowe powiązanie, rzeczywiste, historycznie umotywowane. Ale to powiązanie ma swą gorącą wymowę. Życie Lońki jest oskarżeniem życia Starożewa.

Po ziemi tambowskiej włóczyły się kułackie bandy antonowców, rozbestwione wobec bezbronnych, tchórzliwe wobec silnych. Kułaccy agitatorzy usiłowali szerzyć wśród zdezorientowanych chłopów antonowską „prawdę". Sztab antonowski mobilizował wszystkie siły kontrrewolucyjne w obronie kułackich interesów. Kim był Antonow? Kułakiem? Bynajmniej. Jest nawet pewna różnica między nim a Starożewem.

Kułak Starożew bierze udział w buncie jedynie w celu przywrócenia swej władzy nad słabymi i biednymi, w celu zdobycia nieograniczonych możliwości powiększenia swego majątku. Antonow nie miał nigdy ziemi. Przed rewolucją był wiejskim nauczycielem. Był eserem i za działalność terrorystyczną został skazany przez sąd na zesłanie. Jeżeli stał się wodzem kułackiego buntu to dlatego, że chciało mu się szerokiego bujnego życia, triumfalnego wjazdu do Moskwy, tytułów i zaszczytów. Programów politycznych nie czytał. Za mało wiedział, żeby pojąć istotę wielkich przemian wśród których żył. Mimo różnicy pochodzenia i doświadczeń, ten pozbawiony wszelkich zasad moralnych drobnomieszczański inteligent dochodził w rozmyślaniach do takich samych wniosków jak te, do których kułaka pchnęła jego praktyka życiowa. I oto w jednym szeregu stanął ograniczony awanturnik i „mądry" bogacz wiejski.

Na tym kończę garść refleksji, do których pobudza lektura tej pasjonującej powieści. Uważny czytelnik znajdzie w niej bogaty materiał potwierdzający jego własne obserwacje, naszej współczesnej polskiej rzeczywistości. Bo również między nami kryją się takie wyobcowane ze społeczeństwa jednostki, których koleje życia, w najbardziej typowych zarysach są właśnie dziejami Starożewów i Antonowów, dziejami zrywania wszelkich więzów z rozwijającym się światem wolnych ludzi, dziejami rosnącej nienawiści. Powieść Wirty powinien poznać każdy. Wahający się jeszcze chłop ujrzały w niej istotę własnej wsi i zrozumie mechanikę jej rozwoju. Działacz wiejski zdobędzie nowy zapas doświadczeń. Uczestnicy ruchu spółdzielczości produkcyjnej znajdą w niej doskonałe repetytorium walki. Mieszkaniec miast zobaczy prawdziwą wieś bez młodopolskich zniekształceń. Dla wszystkich „Samotność" będzie źródłem mocnego niezapomninanego przeżycia estetycznego. Czyż może być większy triumf artysty?

Sławomir Rogowski

*) Notka bibliograf.

JACEK TRZNADEL

PASCHALE*)

Paschale jest to pałeczka kościana, na której Koriacy zamieszkujący Kamczatkę odtwarzają w prymitywny sposób historię plemienia, rodu i swoje osobiste przeżycia. Powieść Andrieja Kalinczenki jest historią ośmiu nacięć, karbów na paschale — jest opowiadaniem wiozonym przez autora w usta właściciela paschale — Koriaka Iczołowa.

Z powieściami opowiadającymi o krajach egzotycznych, kolonialnych, o życiu ludzi mieszkających w miejscu, gdzie na mapie są białe plamy — z powieściami takimi stykaliśmy się nieraz w literaturze kapitalistycznego okresu. Chciałbym rzucić krótko tylko parę uwag o ostatnim okresie w literaturze kapitalizmu — o literaturze imperializmu, na którą musimy zwracać baczniejszą uwagę jako na bezpośredniego przeciwnika realizmu socjalistycznego.

Jak wiadomo, powieść okresu imperializmu cechuje wyjątkowa tendencja mistyfikatorska w stosunku do rzeczywistości — dosięga szczytów burżuazyjnego fałszu. Powieść egzotyczna, ucieczka do dzikiej natury, do ludów pierwotnych niedotkniętych pozornie gnijącym oddechem imperializmu — to jeden z przejawów tej antyrealistycznej tendencji. Będzie to tak powieść pierwszorzędna np. Kiplling, jak i drugorzędna „podróżnicza" itd. Wszystkie je cechuje to, że zasadnicze linie klasowe ulegają tu zagubieniu; nowa i trudna zresztą tematyka sprzyja temu załaszowaniu — tak iż często uchodzi ono uwadze na pierwszy rzut oka. Zafałszowanie rzeczywistości może tu mieć przytem dwa aspekty: 1) wybór tematyki odbiegającej od kluczowych zagadnień społeczeństwa burżuazyjnego w okresie imperializmu, 2) fałszywe przedstawienie „kraju egzotycznego" w obrazie literackim, stwarzanie „caz" gdzie nie sięgają determinanty klasowe. Po tych ogólnych uwagach przejdźmy do potraktowania tematu w powieści Kalinczenki.

Należy stwierdzić od razu: temat potraktował Kalinczenko wyjątkowo słusznie, nie tylko przez powiązanie dziejów ludu Kamczatki z przebiegiem linii klasowych, lecz również przez ujęcie zagadnienia w węzłowym punkcie historii — w okresie pierwszej rewolucji proletariackiej i okresie walk o wyzwolenie ludów zależnych i półkolonialnych.

Co mówi nam powieść Kalinczenki o życiu ludu Kamczatki? W okresie poprzedzającym rewolucję proletariacką w Rosji ustrój rodowo-plemienny wędrownych koczujących Kamczadałów zaczyna się przeradzać w instytucję klasową, a to przede wszystkim pod wpływem docierającego tu zaborczego dążenia imperializmu, który niszczy swobodny, naturalny rozwój społeczeństwa pierwotnego. I tak mały ród Tachty musi płacić na rzecz aparatu carskiego przymusową daninę tzw. sajaku. Pozatem działają tu kolonie handlowe rosyjskie, amerykańskie i może najbardziej wykorzystujące lud kamczatki — japońskie. A wewnątrz plemienia tworzą się dwa ośrodki wyraźnie różniące się klasowo. Z jednej strony kniaź Emaue chodzący w mundurze carskiego oficera podarowanym mu przez władze. Emaue ściąga niesprawiedliwe, sprzeciwiające się dawnemu prawu plemiennemu podatki. Utrzymaniu jego władzy służy przesądny lęk ludu przed duchem tundry, podsycany umiejętnie przez kapłanów — szamanów. Kniaź zaś jest w przyjaźni z szamanem Najnypem, a więc potrafi sobie zaskarbić niezliczone łaski złego ducha tundry.

Z drugiej strony widzimy biedotę, posiadaczy małych stad reniferow, czy też pasterzy bez żadnej własności pasących za darmo przez dziesiątki lat stada księcia.

Ale kniaź Emaue to tylko figurka pociągana przez żółtego japońskiego handlarza „sando Sagu". Skóry upolowanych zwierząt, które przechodzą przez ręce kniazia, ryby z połowów — to wszystko dostaje się na statek odchodzący do Japonii — wędruje na światowy rynek imperialistyczny.

Na oddalony półwysep kamczacki dociera jednak nie tylko imperializm. Niezależnie od sprzeciwu jaki budzi się przeciwko wyzyskowi wśród ludności rdzennej — docierają tam ludzie, którzy noszą w sobie płomień buntu przeciw imperializmowi. Są to ludzie walczącego z kapitalizmem proletariatu. Zesłaniec carski, zbiegły z więzienia „Łoce". Krepow budzi świadomość klasową wśród pasterzy i biedaków kamczackich. Opowiada o walce jaką toczą wyzyskiwani robotnicy Rosji, mówi o wielkim wodzu Leninie. W „Zagadnieniach leninizmu" Stalin pisał: „Dawniej... przypuszczano, że... rozwiązanie kwestii narodowo kolonialnej może być dokonane cichaczem, „samo przez się", zdala od wielkiego szlaku rewolucji proletariackiej, bez walki rewolucyjnej z imperializmem". Te poglądy okazały się niesłuszne. Dopiero rewolucja proletariacka wyzwala ludy zależne spod wyzysku imperialistycznego.

A tymczasem wyzysk ten był szkołą świadomości klasowej. Stary pasterz Aniuj upomina skarżącego się złemu duchowi młodego Ajama z małego rodu Tachty, któremu kniaź odebrał ostatnie renifery: „Nie ma w tundrze złego ducha, jest tylko zły kniaź".

W Rosji wybucha rewolucja. Niestety, w pierwszym rzucie nie zostaje objęta ziemia kamczacka. Kamczatka dostaje się pod rządy interwentów Kołczaka, następnie zaś pod władzę żółtych imperialistów z wysp japońskich, którzy już wprost wyzyskują ludność i wywożą bogate łupy. Jest wśród nich i handlarz „sando Sagu" tym razem w mundurze oficera cesarskiego. Bo wojen imperialistycznych nie prowadzi się ze względów „czysto politycznych". O prawa Rosji rewolucyjnej upomina się dopiero oddział Cze-Ka (Nadzwyczajna Komisja do walki z Kontrrewolucją). Dalszy ciąg książki stanowią częściowo dzieje oddziału „ludzi z czerwoną gwiazdą", którego przewodnikiem jest opowiadający Iczałow.

Po tundrze zaczynają krążyć pogłoski, że ludzie z czerwoną gwiazdą znoszą niesprawiedliwe prawo sajaka, że bronią ludności przed pogromcami japońskimi. Te wieści są iskrami zdolnymi zapalić nagromadzone przez ucisk, sprzeciw i nienawiść. Pasterze zaczynają gromadnie uciekać do oddziału partyzanckiego, na którego czele stoi Krepow.

Tymczasem nacięcia na paschale mówią o trudnej walce czerwonego oddziału Cze-Ka. Piętrzą się nieoczekiwane przeszkody. Ale tutaj wchodzą w grę czynniki, które słusznie przewidywał komisarz oddziału — Koptiew. Partyzantka miejscowa jest poparciem oddziału rewolucyjnego, co słusznie wydobywa Kalinczenko w myśl sformułowań stalinowskich: „Leninizm uznaje zdolności ewolucyjne w łonie ruchu narodowo-wyzwoleńczego. Rewolucja w Rosji całkowicie potwierdza te wnioski... nie zwyciężyłaby i Kołczak z Denikinem nie zostaliby pobici, gdyby proletariat rosyjski nie posiadał sympatii i poparcia narodów uciskanych byłego imperium rosyjskiego". Obraz społeczeństwa w literaturze realizmu socjalistycznego zgadza się z marksistowsko - leninowską nauką o społeczeństwie. Tezę tę formułował Lenin mówiąc, że treść nauki i sztuki jest jedna — sztuka różni się od nauki tylko swoistością obrazu artystycznego. Na tym jednym przykładzie rozważonym szczegółowo stwierdzamy słuszność ujęć historycznych powieści Kalinczenki.

Ale chodzi jeszcze o coś więcej.

Poruszane zagadnienia nie są prostym streszczeniem książki. Mają służyć jednocześnie do wykazania realizmu socjalistycznego w powieści poprzez konstrukcję losu bohaterów, a nie tylko przez czysto deklaratywne ich słowa czy też przez komentarz autorski. Chodzi o nowy typ bohatera. Chodzi o to, że rzeczywistość nie jest już martwym układem, nie jest zbiorem wiecznych prawd. Jest przekształcaniem się i zwyciężaniem tego co nowe. I dlatego walczą radzieccy ludzie i kamczatcy partyzanci. A bohater? Nie jest to już bohater burżuazyjny, który miał przed sobą tylko dwie drogi: zginąć lub sprzeniewierzyć się idei postępu. Kalinczenko inaczej konstruuje los bohatera. Paschale jest powieścią o prawdziwych bohaterach, czy to będzie młody Ajam dążący wśród trudności przez tundrę z listem do komendanta Cze-Ka, czy czerwony oddział przeprawiający się wąskim lodowym przesmykiem nad wzburzonym morzem, czy Korieczka Okłańa broniąca się przed Japończykami z samotnej jurty. Tego bohatera nie przekreśla nawet śmierć. Śmierć Krepowa to nie próżna ofiara w walce o zatknięcie czerwonego sztandaru na półwyspie. A pozostali przy życiu budują kołchozy.

A zdrajcy? Wyzyskiwacz kniaź Emaue zostaje stracony wyrokiem ludu na „wilczej ścieżce", gdzie wcześniej jeszcze zginął zdrajca Daucza zamordowany zresztą przez swych własnych mocodawców. Imperialista japoński „sando Sagu" wpada w ręce Cze-Ka. A wyzwolonym rewolucja przynosi nową socjalistyczną moralność. Streszcza to młody Ajam, gdy dowiedział się, że nie odpowiada za winy ojca, zdrajcy Dauczy: „Nowe prawo jest bardzo dobre".

Kalinczenko — stworzył ludzi prawdziwych, czujących i myślących, żyjących w rzeczywistości historycznej. Powieść wychodzi poza konwencję opowiadania Iczałowa, część tekstu tworzy realistyczny opis autorski. Książka ma swój specyficzny urok, który podnosi prostota opowiadania, oszczędny lecz obrazowy język. Przytem, co wypada podkreślić, autor nie zatracił nic z egzotyczności tła. Daje wspaniałe opisy przyrody, na tle której widzimy jednakże prawdziwych ludzi.

Historia ośmiu nacięć na paschale jest pouczająca. Warto przeczytać tę książkę napełnioną treścią, która się zresztą nawet opowiadającemu Iczałowowi nie mieści w systemie nacięć. Spod ręki rodzimego artysty rzeźbiarza wychodzi po raz pierwszy zapewne w kości rena wyrzeźbiony symbol nowego czasu — portret wodza — Lenina.

Jacek Trznadel

*) Kalinczenko Andrej — Paschale. Opowiadania kamczackie. PIW, 1950 ; s. 238, 2 nlb. Przekł. autoryz. Marii Aszer.

W WALCE O ŚWIETLICE

(dokończenie ze str. 4-ej.)

wietlice, nie jak to przeważnie bywa, zapraszani na uroczyste występy, ale w trakcie codziennej pracy wietlic, żeby organizowano wymianę doswiadczeń w ramach powiatu lub ognisk ZNP. Szczególnie ścisła współpraca musi istnieć między podinspektorem oświaty dorosłych a instruktorem kulturalno - oświatowym ZSCh i Powiatowym Zarządem ZMP.

Z powyższych rozważań wynika, że opieka nad świetlicami i kadrami świetlicowymi ze strony ZSCh i władz szkolnych musi być prowadzona szczególnie troskliwie. Trzeba znać ludzi kierujących życiem świetlicowym, trzeba ich poznawać w codziennej pracy, dostrzegać, że aktyw rośnie i wyrabia się. **Trzeba pracować z aktywem świetlicowym. Prócz szkolenia musi być prowadzona wymiana doświadczeń i praca z szerokim aktywem świetlicowym na odprawach szkoleniowo - instrukcyjnych raz lub dwa razy do roku w województwie, a w powiatach w okresie jesienno-zimowym raz na dwa miesiące. Odprawy winny być przygotowywane wspólnie przez ZSCH, ZMP i władze szkolne. Wizytacje świetlic o charakterze instrukcyjnym muszą przybrać ciągły charakter. Prócz powiatowych czynników do nadzoru nad świetlicami trzeba wciągnąć Komisję Oświatową przy Gminnych Radach Narodowych.**

Słowem chodzi tu o pracę z kadrami, codzienną pracę wychowawczą.

Taką samą opiekę, jak nad świetlicami trzeba roztoczyć nad kołami prelegentów w powiatach. Koło prelegentów potrzebuje materiałów do prelekcji, wskazówek metodycznych, pomocy naukowych w postaci plansz, wykresów, modeli i t. p.

Osiągnięcie wyższego poziomu pracy w świetlicach i ze świetlicami wymaga sprawniejszego aparatu organizacyjnego na szczeblu powiatowym i zwiększenia jego stanu liczebnego. W swoim czasie, kiedy Urzędy Inf. i Propagandy zajmowały się świetlicami w dobrze pracujących urzędach powiatowych 5 — 6 osób personelu ledwo mogło podołać nawałowi pracy. Dzisiaj niemniejszej, a bodaj że większej pracy dokonać musi jeden instruktor kulturalno - oświatowy Z.S.Ch.

Podinspektor oświaty dorosłych zajęty jest wyłącznie walką z analfabetyzmem. Akcja prelekcyjna i opieki nad nauczycielami pracującymi w świetlicach — to aż nadto pracy dla jednego człowieka.

Jeżeli zwiększenie kulturalno-oświatowego aparatu nie da się zrealizować od razu we wszystkich powiatach, to przynajmniej w powiatach, w których znajduje się 40 — 50 świetlic, liczących ponad 150 gromad (np. pow. Białystok, Chełm i inne), a zwłaszcza tam, gdzie istnieje więcej spółdzielni produkcyjnych musi zostać dokonane, inaczej trudno będzie sobie wyobrazić poprawę niezadawalającego stanu rzeczy.

Oczywista, że stosunek do instruktora kulturalno - oświatowego w zarządach Związku Samopomocy Chłopskiej i innych istytucjach o którym w swoim czasie bez skutku sygnalizowała w „Kuźnicy" M. Czanerle, powinien zmienić się zasadniczo. Trzeba podnieść ważność funkcji pracownika kulturalno-oświatowego. Bo przecież dobry instruktor kulturalno - oświatowy powinien być dowódcą całej armii świetlicowców w swoim powiecie, kierować pracą kilku tysięcy ludzi, wielkim zakładem wychowawczo- - oświatowym powiatu. Instruktor kulturalno - oświatowy nie może być przez miesiąc instruktorem rolnym, po tym drugi miesiąc pracować w PZGS-ie, przyjść z powrotem na stare stanowisko po to, żeby po pół roku znowu zostać przerzuconym na inne stanowisko. Instruktor ten nie może spełniać jednocześnie swoich fukcji, gdy dodatkowo musi troszczyć się o szczepienie świń, kur, o hodowlę królików, przegląd koni i t. d., a to do dzisiaj stanowi często jeszcze jedno jego zajęcie. Praca takiego instruktora wymaga tej samej stałości zajęcia, co praca nauczyciela, lub pracownika administracji szkolnej. Instruktorowi kulturalno - oświatowemu, trzeba dać takie warunki pracy i płacy, aby mógł się dokształcać. Trzeba przy tym wprowadzić obowiązek dokształcania się instruktora i sprawdzać, jak z niego się wywiązuje. **Jan Łazarz**

KRYSTYNA LEŚNIEWSKA

PROSTA DROGA*)

Drugą skolei pozycją w dorobku powojennym pisarskim Stanisława Kowalewskiego jest powieść pt. „Prosta droga". Autor zajmuje się w niej problemem ważnym i aktualnym w chwili obecnej. Porusza zagadnienie stosunku pisarza do otaczającej go rzeczywistości. Książka jest więc odpowiednikiem postulatów wysuwanych na konferencji pisarzy poprzedzającej akcję wyjazdu w teren, jest sprawozdaniem z pierwszych pisarskich trudności.

Na treść jej składają się przeżycia młodego pisarza, który chce poznać życie górników, ich pracę i pisać o nich. W tym celu wykorzystuje swój miesięczny urlop i wyjeżdża do miejscowości górniczej Zdroje położonej gdzieś na Zachodzie. W miarę przedłużania się jego pobytu widzi on, że powierzchowna obserwacja nie wystarcza. Prosi o pracę i pozostaje w Zdrojach na stałe, dając tym samym wyraz prawdzie, że poznać rzeczywistość można tylko w procesie jej przekształcania. Pisarz widzi, że jest w Zdrojach potrzebny, że może się przydać tym ludziom o których i dla których chce tworzyć. Oto w zarysie treść książki, którą autor wzbogaca opisem, przyjazdu górników polskich z Francji, pracy górników w kopalni czy też satyrycznym przedstawieniem grupy archiwalnych snobów, znajdujących się w Zdrojach celem leczenia urojonych chorób.

Tutaj odrazu napotykamy na trudności. W zamierzeniu autora w tym obrazie dwóch środowisk, miał być prawdopodobnie zawarty kontrast dwóch światów: burżuazyjnych „zabytków" pensjonatu „Tuberoza" i górników, kopalni i biur Zjednoczenia Węglowego. Artystyczny bezruch tego słusznego w zasadzie przeciwstawienia jest jednak u Kowalewskiego niepokojący. Prawda tkwi głębiej. Te dwa światy są nie tylko różne czy przeciwstawne, one walczą ze sobą. Było rzeczą łatwiejszą wyizolować pensjonat „Tuberoza", aby ośmieszać jego pensjonariuszy, trudniej byłoby pokazać problem walki klasowej, walki ze szkodnictwem i nieróbstwem burżuazyjnego świata. Inżyniera uwodzącego Irenę i popijającego wódkę, trzeba było przedstawić jako szkodnika gospodarczego walczącego z planem. Postać przestałaby być tylko elementem artystycznym, stałaby się żywym wrogiem klasowym.

Uwagi dotyczące inżyniera, można zastosować do wszystkich osób, zamieszkujących wytworny pensjonat „Tuberoza". W galerii tych nieciekawych typów inne miejsce znalazłaby Irena, którą autor kroi na miarę jakiegoś symbolu „minionej kultury", podczas gdy w rzeczywistości jest to głupia gęś mieszczańska, tracąca pieniądze męża zarobione na niezbyt czystych interesach.

Zagadnienie komplikuje się jeszcze bardziej, kiedy przejdziemy do problemu bohatera, który łączy swoją osobę i refleksjami te dwa światy W jednej z pierwszych scen książki autor mówi przez jego usta „tworzę ludzkie losy. Ale nie... to ludzie tworzą losy moich bohaterów. Ludzie tworzą i warunkują mój własny los. Jestem im potrzebny. Jestem jedną z funkcji społecznych... — Spotykam ludzi widzę ich krzywdy, nieszczęścia i prześladowania jakie się na nich sypią. Wtedy piszę o nich. Jestem ich głosem, wołam za nich, wzywam sprawiedliwości, walczę. Oni mówią przeze mnie.

A ludzie szczęśliwi? Czy nie zasługują by opisać ich szczęście. Szczęście nie jest sprawą osobistą. Jeśli spotykam takich ludzi muszę pisać o nich. Za moim pośrednictwem mają podzielić się swym szczęściem z innymi".

Oczekujemy z napięciem w dalszych scenach rozwinięcia, pogłębienia, pokrycia życiowego dla jego słów. Spotyka nas jednak rozczarowanie.

Kowalewski chciał dać czytelnikowi obraz przełomu duchowego pisarza, który porzuca dawną tematykę i chce tworzyć w duchu realizmu socjalistycznego. O ile jednak problem jest słuszny i słusznie postawiony o tyle rozwiązanie i opracowanie posiada wiele zasadniczych braków. Przede wszystkim sama postać bohatera, nie tylko jest nieprzekonywująca przez swe tajemnicze incognito, ale także przez papierowość swych doznań i poczynań.

Bohater jest dla nas właściwie postacią nieznaną, nie znamy jego nazwiska, nie wiemy co robił i myślał przed tym przełomowym miesiącem wakacji, nie wiemy jak jego praca będzie wyglądała w przyszłości. Nie tylko nie wiemy, ale nie możemy nawet wysnuć jakichkolwiek przypuszczeń. Obserwujemy tylko jego ustawiczne poszukiwanie ludzi budujących nową rzeczywistość, którzy w jakiś tajemniczy sposób „odgradzają się" od niego. Czytelnikowi po przeczytaniu tej książki natrętnie nasuwa się pytanie czy przypadkiem ten młody autor nie został w miasteczku na złość Irenie, lub czy nie zrobił tego dla młodej Polski, która przyjechała z Francji (to ostatnie nie byłcby jeszcze znów takie karygodne). Rozbieżność między inteligenckimi tyradami w rozmowach z Ireną, między absolutyzującym kontemplatcyjnym stanowiskiem pisarza, a rzeczywiście realistycznie przedstawioną pracą kopalń i koksowni, powoduje że zarzuty Ireny w jej ostatniej decydującej rozmowie zawierają rzeczywiście wiele słuszności. Istotnie bowiem pisarz mówi tylko pięknie o „powołaniu", a jego ostatnia decyzja pozostania na stałe w Zdrojach, umieszczona jako końcowy akord książki, nabiera wbrew tendencjom autora posmaku heroicznego inteligenckiego „zrywu duchowego".

„Prosta droga" jest pod względem konstrukcyjnym książką nadzwyczaj nieskomplikowaną. Cała uwaga autora i czytelnika skupiona jest wyłącznie na problemie „przełomu" głównego bohatera. Akcji pobocznych ciągłych prawie nie mamy.

(dokończenie na str. 7-ej.)

*) Stanisław Kowalewski „Prosta droga". „Książka i Wiedza" 1950.

Głosy o nagrodzonych

MARIAN N. LISTOWSKI

WIERSZE REWOLUCJONISTY

Jeżeli kiedykolwiek można by trafniej odpowiedzieć na pytanie wielu początkujących „poetów" — czy do pisania wierszy potrzebne jest natchnienie? — to po przeczytaniu „WIERSZY ZEBRANYCH" Broniewskiego. Nie, „natchnienie" — słowo błędnie używane i tylekroć nadużywane przez wielu nauczycieli języka polskiego, a potem i przez młodzież — „natchnienie" jest niepotrzebne.

Czytając wiersze Broniewskiego czuje się i rozumie, że poeta pisał to co przeżył. I dlatego: wiersze jego są silne i bliskie, wiersze jego są piękne i proste, są wielkie i ludzkie. Więcej — wiersze jego są własnością ludzi pracy, polskiego robotnika, polskiego chłopa, i polskiego pracującego inteligenta. „Socjalistyczne w treści, a narodowe w formie".

Dlatego też, gdy otrzymałem ze „Wsi" tom „Wierszy Zebranych" Broniewskiego z prośbą o sformułowanie swego sądu uważałem, że moje osobiste wrażenia są niewystarczające. Zabrałem z sobą przemiły upominek jadąc w teren.

Niektóre wiersze Broniewskiego znam od pierwszego numeru „Odrodzenia" (jeszcze lubelskiego). Już wtedy sam próbowałem pisać wiersze i interesowałem się poezją. Bez trudu zrozumiałem czego można się od Broniewskiego nauczyć: *siły wyrazu*, promieniującej z najgłębszego ukochania sprawy, życiowej, przeżytej i przewalczonej prawdy:

„ ...Są w ojczyźnie rachunki [krzywd,
Obca dłoń ich też nie przekreśli,
ale krwi nie odmówi nikt:
wysączymy ją z piersi i z pieśni.
Coż, że nieraz smakował gorzko
na tej ziemi więzienny chleb?
Za tę dłoń podniesioną nad [Polską —
kula w łeb!"

Ta siła wyrazu bez względu na to czy Broniewski pisał „Elegię o śmierci Ludwika Waryńskiego", „Komunę Paryską", „Bagnet na broń", „Ballady i Romanse" czy „Do domu", ta właśnie siła wyrazu wypływająca z głębokiego przeżycia sprawiła, że Broniewski doczekał nie pociechy, ale wielkiego zaszczytu — jego wiersze znają na pamięć robotnicy i chłopi, dorośli i młodzież.

Jeździłem z „Wierszami Zebranymi" Broniewskiego po ziemi kieleckiej. Szukałem ludzi znających jego wiersze. Nie szukałem, przepraszam, szukać nie było trzeba. Robotnicy z huty „Ostrowiec" chyba najpiękniej deklamowali:

„Podaj mi dłoń, Białorusi,
podaj mi dłoń, Ukraino,
wy mi dacie na drogę wasz
sierp i młot niepodległy.
Łuno wolności ludów, moc
w zaciśniętej pięści!"

a członek spółdzielni produkcyjnej w Przeuszynie (pow. Opatów) prostym, szczerym głosem przypominał:

„...całe życie trzeba przeorać,
a nasze ręce są silne.
Zaprzężemy w Piastowy pług
konie pędzone naftą.
Ziemia dla chłopa! Nie będzie sług!
Równość! Oświata! Traktor!"

Ci ludzie wiedzieli, kto jest autorem tych wierszy. Ci ludzie poznający Broniewskiego ze sceny świetlicy na akademii, kupowali jego: „Wiersze Warszawskie", jego „Bagnet na broń" w stoiskach — pierwszych dni maja. I czytali te wiersze, poznali je... często na pamięć.

„Towarzyszu, kim jest Broniewski — to musi być chyba stary nasz towarzysz partyjny" — mówił do mnie robotnik z huty „Ostrowiec".

Doprawdy, okazało się, że o osobie Broniewskiego wiem za mało, że w tomie „Wiersze Zebrane" powinien być jego życiorys, że domagali się wprost tego absolwenci liceów pedagogicznych z 6-ciu województw, będący na kursie świetlicowym w Pawłowicach (pow. jędrzejowskiego). „Wierszy Broniewskiego nie czyta się jeszcze tak, jak czyta się „zabytki literackie" — mówiła kol. Kurówna ze Śląska. Wiersze Broniewskiego wygłasza się na czołowych akademiach. Wierszy Broniewskiego uczą się dzieci w szkole. I tym dzieciom trzeba chyba powiedzieć kto to Broniewski. Trzeba — jeżeli poezja Broniewskiego jest ich poezja".

Ma rację kol. Kurówna, córka górnika z kopalni „Stalin". I ma rację dlatego, że Broniewski to dojrzały poeta, który posiada za sobą ideologicznie jednoznaczną twórczość dwudziestukilku lat. Słusznie chcą wiedzieć o Broniewskim ludzie czerwonego Ostrowca, którzy mówili: „wiecie towarzyszu, że „Pieśń o wojnie domowej" to przewrót majowy. To jakby i o Ostrowcu pisane. To towarzysz Władysław Broniewski przeżył razem z nami".

Robotnicy z Ostrowca, członkowie spółdzielni produkcyjnej w Przeuszynie, robotnicy z Wytwórni w Dwikozach pod Sandomierzem, młody chłopak wiejski, uczeń 6-tego oddziału z Przyłęczka ze wzruszeniem powtarzający strofę „Elegii", uczniowie szkół powszechnych powiatu kozienickiego deklamujący wiersze Broniewskiego o gen. Świerczewkim, młodzi nauczyciele z Pawłowic rozumieją, że Broniewski pisał to co przeżył, że Broniewski pisał dla nich i uznają go za swojego poetę.

Najprościej i najwłaściwiej chyba określił „Wiersze Zebrane" były robotnik częstochowski, obecnie aktywny działacz partyjny mówiąc: *„to są wiersze rewolucjonisty"*.

Wiersze Broniewskiego są niewątpliwie wierszami rewolucjonisty. Każą dostrzegać złe — stare, ale każą jednocześnie budować nowe — dobre.

„...nad ornym polem błyśnij iskrą,
do fabryk idź, do hut, do sztolni,
gromami krzyknij: — Wstańcie wolni!
młotami zadzwoń: — Rwijcie kraty!
sercami uderz: — Dzień zapłatył
— — — — — — —
Jak ciężko mi dziś mówić z wami,
jak boli zżarta pieśń słowami,
lecz kiedyś z łez, nim w oczach oschną,
wytopię inną pieśń — radosną,
i to, com czuł i kochał z męką,
na serca wasze spadnie miękko,
jak kwiaty pierwszych dni majowych..."

I tutaj należało by oczekiwać od Broniewskiego, od „Wierszy Zebranych" innej nuty, niż ta, która przewija się w ostatniej części tomu. Chcielibyśmy tam nie tylko jedenastu nowych wierszy, ale znacznie, znacznie więcej. Po tych wielkich wierszach Broniewskiego, które stały się własnością ludzi pracy, proletariatu i mas małorolnych chłopów, po tych wierszach, w których Broniewski nie tylko potępia ale i walczy z kapitalizmem, z faszyzmem, po tych wierszach należało by oczekiwać postawy Rewolucjonisty budującego nowe, dobre — Socjalizm. Tego „Wiersze Zebrane", a więc i ich autor — nie dają *w takim silnym stopniu* jak należało by oczekiwać.

Mamy do Broniewskiego „osobistą" urazę — ten właśnie były robotnik z Częstochowy i ja. Przeżywamy właśnie olbrzymią rewolucję, dalszy ciąg Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej, budujemy podstawy socjalizmu w Polsce, Nową Hutę, fabryki samochodów, spółdzielnie produkcyjne. Broniewski to dostrzega, Broniewski to niewątpliwie widzi i przeżywa, ale autor „Do domu" pisze w ostatniej zwrotce tomu:

„Na rosyjskiej i na polskiej ziemi,
na ziemi krwi i miłości,
rosną kwiaty
— my je znajdujemy —
pośród poległych kości".

Chciałoby się rzec: — Towarzyszu Broniewski, na ziemi rosyjskiej i na ziemi polskiej rosną nowe fabryki i rosną co rok większe plony zbóż, rośnie Polska robotników i chłopów, dzieło robotniczych i chłopskich rąk — trwa walka. Towarzyszu Broniewski, Wy za często powtarzacie swoje ulubione „do widzenia". Wasze wiersze pomagały nam zrzucić jarzmo kapitalizmu, towarzyszyły nam w walce... od Was zależy, czy będą nadal towarzyszyć w walce i budowie, czy będą pomagać. Towarzyszu Broniewski, Wyście nas budzili, nie mówcie nam do widzenia, nie czas.

Poezja Broniewskiego dobrze służy klasie robotniczej, dobrze służy Polsce Ludowej i mogłaby służyć także, i powinna, służyć także i towarzyszyć tkaczce przy warsztacie, ślusarzowi przy tokarce, hutnikowi przy wielkim piecu, kolejarzowi w parowozie, murarzowi przy budowie, chłopu na spółdzielczym polu, *jako czynnik pobudzający do dalszych wzmożonych, zwycięskich czynów.* Nie kwiaty, ale nowe domy i nowi ludzie rosną.

My nowi ludzie, młodzi poeci uczymy się od Broniewskiego siły wyrazu, uczymy się przeżywać i pisać silnie. I właśnie dlatego mamy prawo nie odpowiedzieć Broniewskiemu na jego „do widzenia". Chcemy, aby Broniewski nauczył nas jeszcze jak silnie, z jaką siłą rewolucjonisty należy poezją pomagać naszym towarzyszom robotnikom i chłopom. *Wierzymy, że Broniewski zadanie to spełni. Bo Broniewski zawsze dotychczas spełniał postulat prawdziwie wielkiej poezji. Jego wiersze są „socjalistyczne w treści, a narodowe w formie". I dlatego jego wiersze są silne i bliskie, jego wiersze są piękne i proste, są wielkie i ludzkie. Więcej — wiersze jego są własnością ludzi pracy. To są wiersze rewolucjonisty.*

Marian N. Listowski

Marian Wilczyński

„Do powszechnej piśmienności"

Powiat Radom na tle ogólnego stanu w kraju nie był ani lepszym, ani gorszym. W 1939 r. bowiem Polska miała 32,5 proc. analfabetów — powiat zaś tutejszy 28,7 proc. Procenty te — to straszliwe oskarżenie rządów sanacyjnych.

Okres okupacji niewątpliwie stan ten jeszcze bardziej pogorszył. Odziedziczyliśmy więc tak w skali ogólnopaństwowej jak i na tutejszym powiecie straszliwą spuściznę. Rejestracja wykazała w 1945 r. na tutejszym powiecie 30,9 proc. analfabetów. Co trzeci niemal mieszkaniec wsi nie umiał czytać i pisać, co trzeci obywatel nie korzystał z książki i gazety. Ogromne zacofanie wsi, brak całkowity zapotrzebowania na słowo drukowane, niewiara we własne siły, dziwna nawet niechęć ludzi starszych do tych, którzy chcieliby uczyć, częste wyśmiewania i drwiny z tych, którzy okazali chęć uczenia się — oto powszechne niemal zjawisko w pierwszych latach likwidacji analfabetyzmu.

I tak w 1945 r. czynnych było na naszym powiecie tylko 2 kursy z 16 uczestnikami, w 1945/46 zaś 12 kursów ze 130 słuchaczami, zaś 1946/47 już 82 kursów i 1.020 słuchaczami. Od tego czasu liczba kursów gwałtownie wzrasta, już bowiem w roku 1947/48 jest czynnych 109 kursów z 1.460 słuchaczami, a w r. 1948/49 152 kursy z 1.724 słuchaczami i wreszcie w bieżącym roku pracowało 328 kursów, przeszkalając 5.617 analfabetów.

W ten sposób 10.967 ludzi na wsi, ludzi, dla których świat książki i gazety był straszliwie odległy, zostało przywróconych Polsce. Zwłaszcza ci, którzy w ostatnich miesiącach nauczyli się czytać i pisać — jakże cieszyli się, że w miesiącu maju składali swe podpisy zamiast krzyży pod tak doniosłym i ważnym dokumentem jak Apel Pokoju.

Ale zanim zdołano zorganizować kursy, było tu wiele świateł a jeszcze więcej cieni.

I tak pisze jeden z nauczycieli:

„...początkowo nie chcieli analfabeci słyszeć o żadnych kursach, szukając różnych dróg uchylania się. Wszyscy twierdzili, że nie są analfabetami — „jo tom nie jezdem alfabeta". — To też chodziłem do domu każdego analfabety i przedstawiałem korzyści z nauki."

Inny znów nauczyciel uczący we wsi powstałej z dawnej służby folwarcznej, a więc ludności trzymanej specjalnie w ciemnocie, pisze, że zgłaszający się na kurs przychodzili wprawdzie, ale tylko po to, aby oznajmić, że mają "słaby wzrok, słaby słuch, nie mają głowy do nauki, mają chore nogi, brak czasu, a to znów małe dzieci w domu, że wreszcie jak wszyscy będą chodzić, to i oni."

„A więc wszystko robili, stwarzali sobie istotne i domniemane przyczyny, aby tylko nie uczyć się, — oto straszliwe resztki dnia wczorajszego."

Jeszcze inny nauczyciel pisze, że jego analfabeci mimo, wstydu, że nie umieją czytać — okazywali również fałszywy wstyd wobec otoczenia, które choć samo nie wiele więcej od nich umie, jednak wyśmiewa się z nich. I dopiero pomogła interwencja, a zwłaszcza, gdy sprowadzono najbardziej opornego, który nie tylko że sam nie przychodził, ale buntował i ośmieszał innych, mówił bowiem, że „kurs nic mi nie da, to tylko strata czasu."

Jednak już po paru odbytych lekcjach stwierdził z żalem: „Dlaczego wcześniej mnie nie sprowadzono."

Taki obraz niektórych wsi rzuca jaskrawe światło na ciemnotę, niewiarę we własne siły, brak zapotrzebowania na naukę czytania i pisania. Taki obraz znajdujących się jeszcze dziś tu i ówdzie wsi oskarża rządy sanacyjne za politykę kulturalno-oświatową na wsi, za celowe utrzymywanie chłopa w ciemnocie. Ale w większości chłop już szybko dojrzewa, zrozumiał dokonane i dokonywujące się przemiany i idzie im na spotkanie, garnąc się do nauki, zdobywając wiedzę i ciesząc się, jak pisze jedna nauczycielka, że „już czytają, że umieją się podpisać. Dzisiaj widzą jaka krzywda im się działa, że ongiś, „nikt o nas nie dbał i dopiero w Polsce Ludowej mamy możność nauki, nie będziemy już ślepi, jak dotychczas byliśmy."

A oto inny słuchacz tak mówi: „W latach ubiegłych ponieważ nie wymagano więcej od człowieka, jak tylko podpisu i to krzyżykami, zainteresowania nauką nie było, tym bardziej, że i o gazetę było trudno na wsi — a brak pracy i grosza nie pozwalał na kupno gazety lub książki.



Uroczyste zakończenie kursu dla analfabetów w Sieradzu.

Dzisiaj każdy wygląda listonosza wiejskiego z jego „Gromadą" czy „Przyjaciółką".

Jaka radość bije z pierwszych listów, napisanych przez niedawnych analfabetów: „Już nie jestem analfabetą", „ja nie potrzebuję prosić żony, aby mi list napisała", „wiesz — już umiem pisać i sam ten list piszę do Ciebie" i wreszcie „jaka to przyjemność napisać list samemu", „ja nie umiałam się podpisać, ja nieraz płakałam, że nie umiałam się podpisać — ja teraz jestem bohaterką".

Słowa te mówią same za siebie i są najlepszą zapłatą dla nauczyciela, są wyrazem wdzięczności dla Polski, że okazała się dla nich prawdziwą matką.

Obraz nie byłby pełny, gdyby nie dodać, że na terenie tutejszego powiatu w roku bieżącym czynnych było 200 kursów poelementarzowych i zespołów czytelniczych, pracujących bardzo intensywnie. Również zakończyło swe prace 14 kursów trzeciego stopnia z 280 słuchaczami.

Nowością w tym roku były cztery dość liczne zespoły, (po stu słuchaczy), przerabiające klasę ósmą. Zespoły te, grupujące młodzież dorosłą, która nie mogła sobie pozwolić na wyjazd do miasta, znalazły tu wdzięczne pole do popisu. I istotnie — wyróżnili się nietylko pilnością w uczęszczaniu i nauce — ale również w głębokim ujęciu poszczególnych przedmiotów.

W ten sposób miliony nowych ludzi na wsi i w mieście staje do udziału w nowym życiu, w ten sposób — jak powiedział premier Cyrankiewicz: „Nowa kultura, wielka, niezwyciężona, młoda kultura wsparta o wszystko co najlepsze z przeszłości, rodzi się wraz z budownictwem socjalistycznej Polski" i zyskuje ona nietylko nowych odbiorców, ale i nowych współtwórców.

Marian Wilczyński

SEWERYN SKULSKI

Po kursach dla analfabetów

Jakoś wczesną wiosną rozeszła się wieś po całej wsi, że jakoby każdy, kto nie umie czytać ani pisać, będzie chodził do szkoły. Różni ludzie różnie mówili, ale najmądrzej powiedział Szymczak, chociaż sam był analfabetą:

— Hm — mruknął. — Obaliliśmy panów, to może jako i z ich ciemnotą uporamy się!

Byli i tacy, którzy poczęli utyskiwać.

— Jakto? Na starość do szkoły? Ja już i tak życia dokałatam, boć przecie swój rozum mam.

Wszystko to jednak ucichło na dość długo. Jakoś po połowie lata, otrzymują wezwanie z urzędu gminnego na zebranie w sprawie walki z analfabetyzmem. Po wygłoszeniu referatu o konieczności zwalczania analfabetyzmu, rozpoczęło się wyznaczanie ludzi po wsiach do spisu analfabetów. Na moją wieś zarząd gminy wyznacza mnie i innego obywatela. Naturalnie przyjmuje tę misję. Po otrzymaniu formularzy, wyznaczamy daty, w których będziemy odszukiwać analfabetów, ale już wiemy, że będzie to praca nie łatwa.

Wiemy o tym, iż ten i ów są analfabetami, ale większość kryje swój analfabetyzm. Po przejściu kilku mieszkań przekonujemy się, że niektórych analfabetów „nie zastaliśmy w domu". Po prostu chowają się, aby się nie dostać na listę. Radzimy sobie z tym, wiemy, gdzie go zapisać — na kursa.

Chwyciliśmy się prostego a dobrego sposobu. Od każdego mieszkańca domu, domagamy się napisania czegoś i przeczytania. Jeżeli pisze z błędami, czyta słabo — notujemy: Półanalfabeta i: Na kursa. Byli tacy, którzy pomagali nam w pracy i otwarcie mówili—analfabeta. Byli i tacy, którzy nam honorową pracę utrudniali. No i co z takim zrobisz, który choć umie czytać i pisać, ale my tego nie wiemy, a on uparcie odmawia czytania i pisania. Może cackać się z takim? Piszemy: Analfabeta. Na kursa.

Gdyśmy już ten spis podług nas jak najlepiej opracowali ,co nam zabrało jedną całą niedzielę i trzy wieczory — niesiemy do urzędu gminnego. Wójt, człowiek z chłopskim rozumem, po przejrzeniu i po zapoznaniu się z nazwiskami analfabetów we własnej wsi, bo z mojej wsi pochodzi, rozjaśnił swoje oblicze, poruszył się na krześle, jakby wielce zadowolony i powiada:

— Moje kochane złote chłopaki. Kochane chłopaki. Toć wy za taką piękną pracę po złotym medalu dostaniecie! A czegożeście wszystkich mieszkańców wsi na listę analfabetów nie wpisali? Jakto? W mojej wsi jest 69 analfabetów, którzy nie ukończyli po 50 lat życia?

— Obywatelu wójcie — powiadam. — Jeżeli mi tu zaraz w tej oto książce nie przeczytacie ustępu i nie napiszecie na tym arkuszu kilka słów, to i was zaraz wpisuję na listę analfabetów. A co? Miałem się kłaniać takiemu upartemu, który z walki z analfabetyzmem tępy sport sobie uprawia, choć umie czytać i pisać, a odmawia tego wobec spisujących analfabetów? Niech i on dostanie wezwanie na kurs, niech to, co umie, pokaże przed nauczycielem.

— Zawzięci jesteście — dodaje wójt. — Ani jednej osoby nie zwolniliście z kursów. Na przykład taka Agnieszka Sokolicz ma troje małych dzieci, a czwarte przy piersi.

— Racja, ma — odzywa się mój kolega. — Ale ma też i chłopa. Czy mąż nie będzie czuł się dumnym, jeżeli jego żona wzbogaci się pismem i drukiem. Może i on do tego własnej ręki dołożyć i zostać opiekunem wieczorem w domu, gdy żona uda się na kursa, A przecież to nie milę drogi. Szkoła zaraz pod nosem. Zwolnienia chciała nie tylko Sokolicz, ale co drugi analfabeta. Prawie każdy z nich miał „ważne powody". Trzeba patrzeć w cel walki i osiągnąć ten cel.

Po pierwszej egzaminacji na kursach zostało 28 osób. Po kilku kursach wielu z nich jako tako podpisze się, a cztery osoby już ładnie da sobie radę z pismem i drukiem. Jest nadzieja, iż do wiosny większość będzie władać pismem i drukiem. Niektórzy z nich staną się nowymi pracownikami społecznymi dla dobra wsi.

Ci, którzy się chowali i z pudełka na nas patrzyli, gdy spisywaliśmy analfabetów, dziś mijają nas z rozjaśnionymi twarzami i życzliwie podają nam ręce.

To wszystko dla mnie więcej znaczy, niż ten złoty medal obiecany przez wójta.

Seweryn Skulski

ANDRZEJ SKUPIEŃ – FLOREK

SŁOWO O „MICKIEWICZU" MIECZYSŁAWA JASTRUNA

„Pryskają nieczułe lody,
I przesądy światło ćmiące..."
A. Mickiewicz

Nie wiele, ale jednak czytałem niektóre dzieła Adama Mickiewicza, a między innymi także i „Odę do Młodości" z której zapożyczyłem sobie powyższe motto — mimo to o samej osobie Mickiewicza i Jego rozległej działalności wiedziałem niewiele, i to zresztą zawierało wiele fałszów, tembardziej że uczeni burżuazyjni, uważali Mickiewicza za swojego, a słowa jego tłumaczyli po swojemu i na korzyść własnej sprawy. Dopiero w obecnych powojennych czasach nowej Polski, kiedy dzięki pomocy Rządu rozpowszechnia się kulturę i czytelnictwo na wsi i możliwe warunki nabycia książki, udało się i mnie dostać w swoje ręce książkę piękną i prawdziwą, rozprawiającą o Mickiewiczu, a napisaną przez Mieczysława Jastruna.

Po przeczytaniu tej książki naprawdę „pryskają" zimne „lody" przewrotności i „przesądy" zakrywające prawdę o naszym Wieszczu Narodowym.

Każdy, kto przeczyta to cenne dzieło Mieczysława Jastruna, pozna całą prawdę w szczegółach dotyczącą nie tylko jego życia czy twórczości, ale pozna i tę prawdę, że Mickiewicz był gorącym zwolennikiem braterstwa ludów w walce z despotyzmem reakcyjnych rządów. Przekona się jak nienawidził cara i caratu a jaką wielką i szczerą przyjaźń żywił do rosyjskiego narodu wśród którego postępowych przedstawicieli znalazł prawdziwych przyjaciół.

Przeczytawszy rozdział tej książki traktującej o braterstwie ludów, wtedy zrozumiał treść hasła: *„Spólna moc zdoła tylko nas ocalić"* którego słowa w swojej młodości czytałem z obrazu Stachiewicza, przedstawiającego Mickiewicza w wymownej pozycji kiedy przemawiając rzuca ludom właśnie to swoje wielkie hasło. Z innych rozdziałów tej książki dowie się czytelnik jak Mickiewicz spodziewając się wybuchu rewolucji wyjeżdża do Włoch, aby podjąć wspólną walkę z Austrią o wyzwolenie ludów słowiańskich. W Rzymie udaje się z deputacją do ówczesnego papieża Piusa IX, którego pragnie pozyskać dla swojej sprawy i w tym celu prosi papieża by „nie dbając na żadne względy stanął na czele wielkiego ruchu ludów, żeby powiedział wreszcie światu, co myśli o despotyźmie, żeby potępił tych którzy z podziału Polski uczynili prawo." (Tom II str. 170). Były to jednak starania daremne. Mickiewicz widząc, że jego prośby i przekonywania papieża nie odniosą pożądanego skutku, „poszedł nagle do zdumionego papieża i potrząsnął ręką jego wołając: —„Wiedz, Duch Boży jest teraz w bluzach robotników paryskich" (Tom II str. 172).

Wertując karty książki Jastruna dowiadujemy się jak jednostronne i kłamliwe były tezy głoszone w Polsce przedwrześniowej, które zacierały idealistycznie rewolucyjną i postępową postawę Mickiewicza, czyniąc go stronnikiem uprzywilejowanych klas szlacheckich. Na dowód przytaczano choćby poemat „Pana Tadeusza" w którym odmalował życie samej szlachty, pokazując jak mało w nim poświęcił miejsca chłopom chociaż na chłopach opierała się budowa narodu i społeczeństwa szlacheckiego. Dziś stało się wiadomym, że to nie jest winą Mickiewicza, że chłopi w ten czas nie byli siłą czynną w znaczeniu narodu, że była to wina szlachty i ustroju przeciwko któremu sam Mickiewicz występował, czemu dawał wyraz w tym samym poemacie kładąc w usta Tadeusza własne słowa: „Sami wolni, uczyńmy i włościan wolnymi. Oddajemy im w dziedzictwo posiadanie ziemi". Ks. XII w. 502—503.

Niestety, jak w społeczeństwie Polski przedrozbiorowej tak i w Polsce przedwrześniowej byli „kwaśni Gerwazi", którzy ciągle żyli w przekonaniu, że „...wolność nie jest chłopską rzeczą, ale szlachecką". Ks. XII w. 540.

Mickiewicz pracując z wszystkimi i wszędzie walczył o wolność wszystkich uciśnionych warstw i ludów.

Już pierwsze strony tej książki przykuwają do siebie czytelnika a mocniej jeszcze przykuwają tego wiejskiego. Na wstępie poznajemy całe dziecięctwo Mickiewicza i bliski staje się nam przez to, że jak i my chłopcy wsi, przysłuchiwał się opowiadaniom posiadników. Ciekawiły go wierzenia, przesądy i zwyczaje ludu wiejskiego. Polubił ludowe pieśni, podania i baśnie, poznawał z bliska życie i dolę chłopów. Nic też dziwnego, że jest tak bardzo czczony przez ogół obywateli Polski Ludowej.

Z książki Jastruna czytelnik może nauczyć się bardzo wiele nie tylko o Mickiewiczu, ale o całej epoce. Idąc poprzez całość tej książki spotkamy postacie wielkich poetów, spotkamy Goethego, wielkiego poetę Niemiec, i Słowackiego, Puszkina, Rylejewa; poznamy wielu wybitnych rewolucjonistów, zobaczymy walkę ludów o wolność i braterstwo, zbliżymy się do tego, co w ówczesnym świecie było najpiękniejsze i najszlachetniejsze. Idąc wraz z Mickiewiczem przejdziemy Litwę, Moskwę i Petersburg, Rzym, Paryż i Konstantynopol, dojdziemy z niesłabnącą ciekawością do ostatnich chwil życia Mickiewicza Dalej zobaczymy trumnę z jego zwłokami na wozie zaprzężonym w parę wołów jadących ulicą pod Górę Parolską. „Za wozem szli obok siebie bratersko człowiek przy człowieku, Polacy, Turcy, Żydzi, Ormianie, Francuzi, Serbowie, Albańczycy, Bułgarzy, Grecy, Włosi i Dalmatyńcy".

Przeczytawszy tę książkę nikt się nie zdziwi, że ukazywała się ona już w trzecim wydaniu, i że za pracę włożoną w to dzieło autor otrzymał nagrodę Państwową.

Zaznaczam, że książka ta ma siłę, że każdy po przeczytaniu jej, sięgnie po dzieła samego Mickiewicza, którego ludność ocenia jako poetę wiecznie żywego i zawsze aktualnego. Książka Jastruna o Mickiewiczu wielce może się przyczynić do upowszechnienia na wsi twórczości Wieszcza. Jednakże moim zdaniem, książka ta jest trochę za droga na kupienie jej przez ogół wsi. Radziłbym, by odpowiednie czynniki postarały się o tanie rozpowszechnienie tej książki, wzorem stuzłotowej biblioteki „Czytelnika".

Andrzej Skupień-Florek



Biblioteka ZSCh w Drwalewie.

Prosta droga

(dokończenie ze str. 6-ej.)

(dokończenie ze str. 6-ej.)

Układ konstrukcyjny książki obciąża jeszcze bardziej autora. Z chwilą bowiem kiedy Kowalewski koncentruje swoją uwagę na zagadnieniu, powinien je tym bardziej rozwiązać w sposób prawidłowy.

Są jednak partie książki głęboko optymistyczne, mówiące nam o wyraźnej i przekonywującej sile pisarskiej autora i o jego możliwościach rozwojowych. Są to partie mówiące o pracy na kopalni, postacie Sielnego, dyrektora Zjednoczenia, trafnie ujęte momenty powrotu reemigrantów z Francji. Dowodzą nam one wyraźnie, że autor potrafi kreślić typy ludzi nowych pozbawione tradycyjnych i zbanalizowanych już „inteligenckich obciążeń". Dlatego oczekujemy z niecierpliwością nowych bardziej przemyślanych i staranniej opracowanych pozycji w jego dorobku literackim.

Krystyna Leśniewska

STANISŁAW KRAKOWIAK

PO EGZAMINIE

Żniwa już przeszły, poplony posiane, pierwsze omłoty wykazują piękne urodzaje. Zbliża się czas tradycyjnych dożynek. Są to pierwsze dożynki w planie 6-letnim, pierwsze w wielu spółdzielniach produkcyjnych.

W dożynkowy czas przeanalizuje wyniki swej pracy indywidualny rolnik, przeanalizuje swój dorobek państwowy czy paroletnia spółdzielnia produkcyjna.

Ob. Wachowca, gospodarza ze wsi Łazanowska Wola, pow. brzeziński spotykam na drodze z kościoła do domu. Żniwa już dawno zakończył, wymłaca teraz owies i jęczmień. Wyprowadza się z tej wsi... na swoje dwa hektary w Chrustach Starych. Dlaczego? Nie chce należeć do spółdzielni produkcyjnej, nie chce pracować razem z „kołchoźnikami". Na zapytanie — czy żniwa skończył wcześniej niż spółdzielnia stwierdza, że tylko o parę godzin. Pracował do późnej nocy, a spółdzielcy skończyli w dniu następnym. Boi się płaskiej orki, nie chce pracować za innych itp.

Ob. Wachowiec ma kilka ha ziemi poniemieckiej. Jest dobrym rolnikiem ale mało wyrobionym społecznie. Trzeba go przekonywać i on sam chce być przekonany faktami. Czekał i sądził, że na wiosnę spółdzielnia rozpadnie się. Kiedy siewy wykonano dość sprawnie — czekał na żniwa. Wtedy miał być koniec ze spółdzielnią w Łazanowskiej Woli. No i zawiódł się, bo właśnie żniwa były egzaminem tej spółdzielni, która nie tylko w czasie sprzątnęła zboże u siebie, ale pomogła także indywidualnym gospodarzom. Te żniwa przygniatają Wachowca swoją faktyczną wymową. Nie może o nich źle powiedzieć. Nie mogą plotkować i inni wrogowie spółdzielczości produkcyjnej.

„Ano, trzeba będzie we wrześniu wyprowadzić się na swoje do Chrustów. Tam nie mówią jeszcze o spółdzielni. Ładnie tu ale trzeba"... w głosie markotna nuta. Ojciec i dzieci patrzą na dom do którego założono już przewody elektryczne... za parę tygodni błyśnie światło. Kto wie może wtedy?... „Nieświadomość określa byt ale byt określa świadomość".

Przewodniczącego Spółdzielni Produkcyjnej ob. Rebzdę Franciszka spotykam w stodole. Doprowadza do porządku kosę. „Dzień w dzień pracuje się w spółdzielni, w niedzielę mam czas robić na swoim obejściu" — mówi zażenowany nieco, bosy i roboczo ubrany. Rozmawiamy o żniwach, o pracy w spółdzielni, o przygotowaniach do dożynek...

„Spółdzielnia nasza — mówi ob. Rebzda — powstała 28 stycznia 1950 roku. Jest to spółdzielnia I typu, choć już dużo członków myśli o III-cim typie. Wieś Łazanowska Wola to wieś trudna. Sporo jest repatriantów z za Buga i z różnych części Polski. Jest kilku miejscowych gospodarzy. Dawniej była to wieś niemiecka, nazywała się „Grünbach". Rozwój spółdzielni jest utrudniony. Ale ostatnie żniwa zadecydowały".

„Zawarliśmy z P. O. M-em z Bogdanki umowę na skoszenie 120 ha zboża na ziemi już spółdzielczej i na działkach poszczególnych członków, którzy od żniw włączają się do spółdzielni. Przysłano nam 3 snopowiązałki i 3 traktory. Ponadto korzystamy z pomocy S. O. M-u z Łazanowskiej Woli. Chcieliśmy, aby i indywidualne gospodarstwa skorzystały z maszyn ale na zebraniu nie chcieli z nami rozmawiać. Sądzili, że wcześniej skoszą niż my. Okazało się inaczej. Przekonali się, że maszyny ani koniem ani chłopem nie przegonisz. Robota na naszych polach szła jak złoto. I co? Jak to zobaczyli nasi sąsiedzi to lecieli do nas na łeb na szyję z prośbą, aby i do nich maszyny przysłać. Zgodziłem się, ale pod warunkiem, że oni pomogą nam w zwózce zboża do stodół. Zgodzili się chętnie.

Co to było za zdziwienie wśród dalszych mieszkańców naszej wsi — gdy zobaczyli, że do naszych stodół zwożą nasze zboże tacy wrogowie spółdzielni jak Antosiak — „wódz repatriantów", Stępowicz, F...ks...".

Dużą pomoc dała spółdzielni ekipa robotnicza Zjednoczenia Przemysłu Maszyn Włókienniczych z Łodzi oraz PZGS z Brzezin, który przysłał kilku pracowników i wóz parokonny. Po ustawieniu zboża w mendle przystąpiono do podorywek.

Do 28 lipca wszystkie zboża mieliśmy sprzątnięte — mówi dalej Prezes Rebzda. Wyróżnili się w pracy członkowie spółdzielni Rokita, Olejnik, Kacperski, Stasiak.

„Czy mieliśmy trudności — naturalnie. Kto widział, aby szło wszystko gładko jak po maśle. O mało co nie doszło do bójki".

Tu prezes Rebzda opowiedział mi, że kiedy spółdzielcy zwozili zboże do stodoły naprzeciw zabudowań niejakiego Loli, wyszło stamtąd kilku pijanych weselników i zaczęło ubliżać i spółdzielni i członkom a prezesowi najwięcej. Szukali zaczepki, chcieli bitwy.

„Nie daliśmy się sprowokować, nie dał się namówić i nasz członek Rokita współweselnik z poprzedniego dnia. Pracował on z nami nie zważając na ich nawoływania i pogróżki" — mówi z naciskiem ob Rebzda.

„Czym były dla nas te żniwa? Były egzaminami naszej sprawności gospodarczej. Zdaliśmy ten egzamin na dobrze" — kończy z uśmiechem prezes — główny motor całej pracy.

Ta wygrana mała „bitwa" o szybszą akcję żniwną podziałała na wahających się mieszkańców Łazanowskiej Woli, zatkała usta plotkarom i wrogom uspółdzielczonej wsi polskiej. Praca żniwna zjednoczyła członków jeszcze mocniej. Uświadomiła ich i utwierdziła w przekonaniu, że kroczą słuszną, prostą drogą do lepszego jutra.

Dożynki gminy Mikołajów odbędą się w Łazanowskiej Woli pod znakiem elektryczności. W tym dniu zabłysną we wszystkich domach żarówki. Dzień przezwycięży noc.

Stanisław Krakowiak

ANDRZEJ WERA

Jeszcze lepiej gospodarzyć...

„Jeszcze lepiej gospodarzyć"... oto zadanie jakie sobie postawili robotnicy rolni i dyrekcja Zespołu PGR nr 11 Dębołęka. Gospodarstwo leży w powiecie sieradzkim, na terenie zniszczonym przez działania wojenne. Widać wokół Dębołęki wsie odbudowujące się po zniszczeniach.

Nic więc dziwnego, że robotnicy PGR-u wespół z dyrektorem ob Józefem Kozimorem, do niedawna robotnikiem łódzkich fabryk części elektrycznych starają się za wszelką cenę promieniować na otaczające Zespół wsie, by w ten sposób podnieść zaniedbane rolnictwo powiatu sieradzkiego.

Nie odrazu jednak doprowadzono państwowe gospodarstwo do takiego stanu, w jakim jest dzisiaj. Polityka personalna w pierwszych latach po wyzwoleniu byłego mikołajczykowskiego Zarządu Okręgowego Państwowych Nieruchomości Ziemskich prowadziła do obsadzania na majątkach byłych rządców i plenipotentów. I w Dąbołęce usadowiła się „gromadka" mająca na uwadze własną kieszeń. Ale robotnicy, pamiętający dobrze dawnego właściciela Dębołęki przed którym czapkowali i którego — co należało do obowiązku robotnika — musieli całować po rękach, walczyli z całą świadomością proletariacką przeciw ówczesnemu kierownictwu zespołu. Z nich wyrastali nowi kierownicy poszczególnych gospodarstw podlegających zespołowi, byli fornale dziś brygadierzy polowi Dawny robotnik rolny Zygmunt Wolski objął kierownictwo gospodarstwa w Zalesiu, brygadier polowy Józef Szubert awansował na stanowisko kierownika w pobliskiej Wolnicy, były robotnik Kamieński jest obecnie kierownikiem gospodarstwa zespołowego w Lesznie. Ci ludzie, wespół z silną gromadą robotników oczyszczali stopniowo administrację państwowych gospodarstw rolnych, z obcych klasowo elementów. Dziś Dębołęka należy do najlepszych Zespołów PGR-owskich w wojew. łódzkim. Dyrektor Zespołu ob. Kozimor dawny robotnik łódzki, były mechanik zespołowy w majątku dokłada wszelkich starań, by Dębołęka świeciła wzorem wsi.

I tak jest w istocie. Zespół rozbudowuje się mocno, poczyniono poważne inwestycje. W trakcie budowy są kurniki przeznaczone dla 5 tys. kur, buduje się olbrzymie chlewnie, obory, magazyny na zboże i maszyny. PGR po kryzysie jaki przeżywał jeszcze parę miesięcy temu, kiedy w dyrekcji i administracji tkwili byli poplecznicy dziedzica, pomyślnie rozwija się gospodarczo. A obok podnoszenia poziomu gospodarki rolnej, wiele uwagi skupia się także na sprawach socjalnych.

W gospodarstwie Kobierzycko podlegającym zespołowi jest na ukończeniu budowa domków bliźniaczych dla robotników rolnych. Zamieszka w nich już w tym roku 16 rodzin robotniczych. W pozostałych gospodarstwach prowadzone są remonty dawnych budynków czworacznych, zaś w Dębołęce ukończono już naprawę czterech domków dwu rodzinnych.

Myśli się również w zespole o sprawach kulturalno-oświatowych. W 11 świetlicach zbierają się co wieczór po pracy robotnicy, by poczytać przychodzące gazety (prenumeruje się ich na cały zespół ponad 340. W tym „Głosu Robotniczego" — 240 egzemplarzy) posłuchać radia, wypożyczyć książki z ruchomych biblioteczek. Bibliotek takich jest 11. Wędrują one z gospodarstwa do gospodarstwa. Są to książki fachowe, beletrystyczne i biblioteczki klasyków marksistowskich. Robotnicy nie czytają narazie wiele, lecz są tacy, którzy już wszystkie książki z dotychczas goszczących w Dębołęce bibliotek przeczytali. Należy do nich traktorzysta Jasiek Kaczmarek.

Obok książki, robotnik rolny Zespołu zdobywa wiedzę na kursach organizowanych przez Podstawowe Organizacje Partyjne PZPR. We wszystkich gospodarstwach prowadzone jest szkolenie ideologiczne, odbywają się kursy dobrego czytania, kursy dla analfabetów, których w Dębołęce jest jeszcze dużo. Jeżeli któryś z robotników ma szkołę, jak to się tu mówi, to nie więcej jak dwie klasy szkoły powszechnej. Reszta nie chodziła do szkoły. Dlatego Tomasz Resterniak przez czterdzieści lat pracy w Dębołęce podpisywał się krzyżykami i dopiero w tym roku nauczył się pisać i czytać.

Poza tym dla robotnic rolnych organizowane są w porze zimowej kursy kroju i szycia. Robotnicy znajdują w Zespole dobrą opiekę. Pracują dlatego chętnie i dążą do tego, by jeszcze lepiej gospodarzyć...

Andrzej Wera

TADEUSZ OSTROWSKI

W walce o zdowie wsi

Są jeszcze — i jakże częste niestety wypadki na wsi — że babki odbierają porody nie tylko w okolicach, gdzie położnych brak, lecz również w tych miejscowościach, w których są położne.

Co prawda władze walczą z babkarstwem, ale mają ogromnie utrudnioną pracę z powodu uporu ludności wiejskiej, która wzywa babki do porodów i osłania je przed zarządzeniami karnymi. Większość położnych ma nadal trudny dostęp do domów wiejskich. Na straży zdrowia jeszcze często stoi babka — uosobienie nieszczęścia, choroby i śmierci, obronca zacofania i ciemnoty.

Odcinek pracy, oddany przez państwo w ręce położnej, jest bardzo ważny i odpowiedzialny. Państwo, chcąc zapewnić swym obywatelkom dobrą i rzetelną pomoc położniczą, stawia wysokie wymagania kandydatkom na położne, łożąc na ten cel olbrzymie sumy. Dąży się przy tym, aby wieś dostarczała jak najwięcej kandydatek na położne.

Położne pochodzące ze wsi mają tę przewagę nad położnymi napływającymi na wieś z miasta, że są znane kobietom i łatwiej jest im wyrobić sobie praktykę, gdyż cieszą się zaufaniem sąsiadek i znajomych.

Jak przedstawia się ta sprawa na Pomorzu zachodnim?

Centralna poradnia matki i dziecka w Szczecinie otwiera stale coraz to nowe wiejskie izby porodowe.

Podczas gdy w ubiegłym roku było czynnych na terenie województw: szczecińskiego i koszalińskiego zaledwie 10 izb porodowych, obecnie jest ich już 36. Stawia to Pomorze zachodnie na czołowym miejscu w Polsce.

Izby porodowe odpowiednio wyposażone w sprzęt, bieliznę, bieżącą wodę i potrzebne instrumenty kliniczne, cieszą się coraz większą popularnością wśród kobiet wiejskich, chętnie korzystających z ich fachowej opieki i pomocy.

Do najlepiej zorganizowanych izb porodowych na Pomorzu zachodnim należą Izby w powiatach pyrzyckim, stargardzkim, nowogardzkim i szczecineckim, choć i w innych powiatach Izby te stoją na odpowiednim poziomie.

O zrozumieniu przez wieś korzyści, jakie dają te Izby, świadczy na przykład fakt, że chłopi gromady Kiełczygłowy w powiecie miasteckim samorzutnie uruchomili Izbę porodową, a mieszkańcy gminy Recław, powiat Kamień, gdzie organizuje się obecnie spółdzielnię produkcyjną, zobowiązali się dać na remont Izby porodowej pół miliona złotych w robociźnie.

Spośród kilkudziesięciu położnych, pochodzących przeważnie ze wsi, które wyróżniły się w pracy nad niesieniem opieki matce ciężarnej i jej dziecku, przodują starsze, doświadczone kobiety, odznaczone ostatnio srebrnymi krzyżami zasługi.

Są to Antonina Bacz z Okonka i Maria Abramienko z Grzmiącej, powiat Szczecinek oraz Maria Sikorska z Kalisza pomorskiego, powiat Drawsko.

Za ofiarną pracę odznaczono brązowymi krzyżami zasługi także i młodsze położne: Helenę Wiatr z Izby porodowej Dobra, powiat Nowogard, Marię Dubas ze spółdzielni produkcyjnej Warnica, powiat Pyrzyce, oraz Barbarę Furmankiewicz z Izby porodowej w Lipianach, która w drodze awansu społecznego przechodzi obecnie na drugą instruktorkę do centralnej poradni matki i dziecka w Szczecinie. Położnictwo jest jedną z najlepszych dróg aktywizacji społecznej kobiet i ich awansu w kręgu gromady.

Rośnie sieć wiejskich Izb porodowych na Pomorzu zachodnim, szkoli się co roku nowe zastępy położnych z ludu, które przecież nie dla kogo innego, jak tylko dla ludu, dla kobiety wiejskiej uczą się tego pięknego zawodu, aby nieść pomoc pracującej kobiecie wiejskiej, która ma przecież wychować zdrowe dziecko, przyszłego obywatela Polski socjalistycznej.

Jeszcze w tym roku zorganizuje się w gromadach, spółdzielniach produkcyjnych i państwowych gospodarstwach rolnych dalszych 60 wiejskich Izb porodowych, których zadaniem jest niesienie fachowej opieki nad ciężarną, rodzącą, położnicą i noworodkiem.

Tadeusz Ostrowski

MARIA SAWICKA

CHCEMY WALCZYĆ

Nie wiem, czy mnie wychowance „wysoko postawionej" szkoły wolno „stanąć okoniem" i... powiedzieć choć jedno złe słówko na nią.

Od pewnego czasu jestem stałą czytelniczką „Wsi" i czytam ją od deski do deski. Najwięcej interesują mnie artykuły dyskusyjne, które rzucają nowe światło na zagadnienia literackie i społeczne.

Prawie dwa lata temu, czytałem „Listy maturzystów" i artykuł Macieja Koliby „Praktyka licealna". Pozazdrościłam maturzystom świadomości i wyrobienia, a Kolibie dziękowałam w duchu za to, że pokazał czym powinien być polonista w gimnazjum.

Niestety ówczesny mój polonista był wszystkim, tylko nie polonistą. Trzy lata słuchałam wykładów z literatury i wciąż myślałam, że to nie literatura, że to dopiero wstęp do literatury. Po tak „wspaniałym" wstępie bałam się literatury jak ognia, przeklinałam wszystkich poetów i pisarzy.

Wiedziałam np, że Prus napisał „Lalkę", że jest w niej postać panny Izabeli Łęckiej, że panna Izabela w pewien poranek kwietniowy leżała na kanapie i coś myślała. To był jeden z najważniejszych momentów „Lalki". A drugie najważniejsze zagadnienie to list Prezesowej do Wokulskiego. Tego niesłychanie ważnego listu uczyliśmy się na pamięć. Profesor nasz mawiał: „jakżeż, cymbałku napiszesz do cioci, czy damy swego serca, skoro nie będziesz znał tego klasycznego wzoru. „Tyle wiedziałam o „Lalce".

O „Powracającej fali" zaś wiedziałam że występuje w niej „łotr" Ferdynand Adler, który ośmielił się proponować córce Böhmego aby otwarła nocą okno w swym pokoju, proponował to dziewczątku, które zapewne miało czyste, wzniosłe i „szlachetne ideały". Z „Placówki" znałam na wyrywki topografię zagrody Ślimaka.

Takie były nasze wiadomości z literatury.

Potem sytuacja zaczęła się zmieniać. Powstał ZMP, odmłodził się także skład profesorów. Zaczął wykładać nowy polonista. Byłam zdumiona, że lekcje polskiego mogą być ciekawe, podniecające do niekończących się dyskusji.

Zimą 49 roku przeczytałam we „Wsi" artykuł pt.: „Koniec z takim uczeniem". To mało powiedzieć przeczytałam, przeżyłam ten artykuł. Wydawało mi się, że to o nas mowa, w artykule. Gdyby nie zmiana profesora może i ja widziałabym w pozytywiźmie ideologię, która i „dziś jest bardzo aktualną". Nowy nauczyciel przywrócił właściwe oblicze nauki o literaturze. Dzisiaj nie potrafię już myśleć o pozytywiźmie, nie myśląc o kapitaliźmie.

Koło ZMP także robiło swoje. Ono pierwsze wprowadziło do gimnazjum *problem walki klasowej*, problem walki z drobnomieszczańskimi nawykami. My zetempowcy wiedzieliśmy, że szkoła jest także areną walki politycznej, że wróg klasowy wciska się do szkoły. Zaczęliśmy uważnie przysłuchiwać się lekcjom, podchodzić krytycznie do wypowiadanych sądów niektórych nauczycieli. Muszę podkreślić, że są profesorowie, jak opiekun ZMP, którzy pomagają nam w pracy, pomagają usuwać trudności. Ale są jeszcze i tacy, którzy jawnie chcą nam przeszkadzać. W ZMP bijemy się o to, aby pogłębić naszą dojrzałość ideologiczną, postawę polityczną. Staramy się dużo pracować, uczyć, chcemy, aby nasi członkowie stali się aktywistami młodzieżowymi, dużo dyskutowali. Chcieliśmy przenieść tę metodę na lekcje. Okazuje się, że to jeszcze w 50 roku nie łatwa sprawa, gdyż kiedy uczeń chce postawić jakiś nowy problem, profesor przecina ostro: „bez dyskusji", lub bardziej, radykalnie: milczeć!

Na lekcji, kiedy omawiamy szlak bojowy Wojska Polskiego nie wolno nam zauważyć, że Związek Patriotów Polskich w ZSRR powstał w czasie wojny, a nie przed wojną. I czy tu nie widać wycinka frontu walki klasowej?

A dalej. Bardzo ważnym zagadnieniem jest dla nas praca w szkolnym hufcu SP. W naszej szkole i to zagadnienie wypaczono. Nie wiem, czyja w tym wina, czy dyrekcji, czy władz wyższych, że na kurs komendantów szkolnych hufców SP wysyła się niekiedy profesorów, którzy się do tego absolutnie nie nadają. Jakże później hufce szkolne różnią się od letnich brygad. W letnich brygadach pobijaliśmy normy, pokazywaliśmy swą dojrzałość polityczną. A w hufcu szkolnym traktują nas niepoważnie. Często czekamy godzinę i więcej na profesora — komendanta, który jeszcze dzisiaj nie wie, co to jest punktualność. Czekamy godzinę na jałową zbiórkę, która tylko rozdrażnia. Prasówka sprzed trzech tygodni i wykład — wierne odbicie wiadomości zdobywanych w 7 klasie szkoły podstawowej. Dla urozmaicenia na następnej zbiórce karny raport, czyli „za karę napiszecie, co wiecie o PO SP". Smutne, ale prawdziwe. Czy w brygadach letnich myśleliśmy kiedy o tym, że SP to kara? Chlubiliśmy się i chlubimy mianem junaka i znajomością naszej organizacji.

Ob. Redaktorze! Nie jeden już raz „Wieś" brała w obronę swych młodych czytelników, pomagała im w walce. Bardzo chciałabym, aby to, co napisałam znalazło się na łamach „Wsi". Jest to odpowiedź nie tylko moja ale wszystkich postępowych uczniów, zetempowców i espowców. Chcemy walczyć nie tylko na miejscu, ale także i słowem drukowanym, które jest dobrym biczem na oportunistów i wrogów klasowych.

Maria Sawicka



JÓZEF FIREK

W ZAKLICZYNIE NIE MA ŚWIETLICY

Jest w pow. Myślenieckim wieś, która do dziś nie może poszczycić się posiadaniem świetlicy.

Wprawdzie mamy we wsi i partie polityczne i organizacje społeczno-gospodarcze, jest i Związek Młodzieży Polskiej, jest także spółdzielnia Samopomocy Chłopskiej, i nawet Ośrodek Maszynowy, ale świetlicy jak nie było tak nie ma, choć sprawa ta już od 1947 r. była poruszana na zebraniach i gromadzkich i spółdzielczych.

Na skutek braku świetlicy zebrania gromadzkie urządza się bądź pod gołym niebem, bądź w budynku szkolnym, lub wreszcie w baraku przy budującej się obecnie szkole. Odczytów, akademii nie urządza się, bo nie ma gdzie. Gazety, (a jest około 60 gospodarzy prenumerujących) czyta się w domu, a potem gdy zejdą się gdzieś chłopi, czy spotkają, dowiaduje się jeden od drugiego — ano to i to w „Rolniku", „Gromadzie", „Chłopskiej Drodze" czy innych gazetach było napisane, a szkoda, że tych wiadomości nie czytają wspólnie, bo nieraz ważne dla ogółu wiadomości późno dochodzą ze szkodą dla mieszkańców. Wszystko wskutek braku „świetlicy". W ten sam sposób odbywa się czytanie książek.

W ostatnich czasach Zakliczyńskie koło ZMP czyni starania o otwarcie tej tak potrzebnej placówki kulturalnej, lecz jakoś to ciężko idzie, bo jak słychać, w lokalu gdzie miano urządzić świetlicę ma być otwarta rzeźnia.

Czy naprawdę nie ma we wsi domu z odpowiednią izbą na ten cel? Ależ jest. Jest w Zakliczynie piętrowy budynek dworski. Są w tym budynku piękne duże sale, zajęte przez inną Spółdzielnię ZSCh na magazyny i składy nawozów sztucznych, pasz treściwych itp. Ale te artykuły nie muszą zajmować wszystkich sal i przy dobrej woli oraz zrozumieniu, łatwo i bez kosztów możnaby urządzić piękną świetlicę i dziwić się należy, że władze spółdzielcze jako czynnik kompetentny i powołany do tego, do dziś nie postarały się by w jednej z sal budynku dworskiego, nie urządzić świetlicy wiejskiej.

Można by tam skupić życie kulturalne wsi, młodzież i starsi nie musieliby szukać rozrywki czy to kulturalnej czy innej w innych wsiach (jak to czynią dotychczas) ZMP mógłby rozwinąć działalność, dałoby się utworzyć zespół amatorski, którego dotychczas nie ma we wsi właśnie z powodu braku pomieszczenia i w ogóle całe życie kulturalne wsi możnaby ześrodkować. Tu byłoby miejsce na kontakty społeczne, tu podejmowanoby ważne dla wsi uchwały, tu możnaby prowadzić czy zachęcać do samokształcenia, otworzyć bibliotekę, wygłaszać odczyty, urządzać rocznice, obchody i w ten sposób podnosić wieś na wyższy poziom życia kulturalnego, którego potrzebę ludzie odczuwają.

Jest dość takich, którzy nie mogą obejść się bez kulturalnej rozrywki, pragną teatru, koncertów, muzyki poważnej, domagają się kina, chcieliby mieć głośnik radiowy, światło elektryczne, a tu jak na złość kina nie ma we wsi nie tylko stałego, lecz nawet objazdowe nie zawitało ani razu do nas, odbiorniki radiowe na palcach można policzyć, zespołu amatorskiego nie ma.

Józef Firek.

JÓZEF KOWALCZYK

KORESPONDENT I JEGO PISMO

Chociaż jestem chłopcem niedorosłym — mam wielkie zamiłowanie do szerzenia oświaty na wsi. Chcę pracować dla dobra Polski, sprawy socjalizmu, chcę się przyczynić do wykonania Planu 6-letniego. Nie chcę żyć z wyzysku ludzi, chcę sam na siebie zarabiać.

W domu wielki niedostatek. Nie mam butów, nie mam ubrania na święta ani poczciwej bielizny, w ogóle nie mam nic porządnego. Pracuję w domu. Nie dają mi żadnego odpoczynku, nawet w południe, czy w niedzielę. Nie pozwalają mi w domu zapisać się do ZMP ani LZS. Nie dają grać w piłkę ani chodzić do świetlicy. Nie pozwalają pisać do redakcji, dużo czytać, prenumerować gazet, chodzić do kolegów, ani im mnie odwiedzać. Nie pozwalają mi chodzić dalej do szkoły i jeszcze więcej się uczyć. Tylko w domu samemu siedzieć i pracować, a o koloniach nie ma mowy. Ja tak nie chcę żyć, chcę widzieć cały świat, chcę żyć dla ludzi, pracować społecznie.

Redakcjo, weź mnie pod swoją opiekę. Do mego domu straciłem serce. Zaopiekuj się mną. Chcę być listonoszem na razie, roznosić ludziom gazety i książki, zarobić na rower, ubranie i bieliznę. Chcę być człowiekiem. Prosiłaś Redakcjo, aby Ci odpisać prędko, ale nie mogłem, gdyż musiałem ciężko pracować przy żniwach — od świtu przez całe południe, do nocy. Może ty nie zdajesz sobie sprawy jaka to ciężka praca?

Książki, które wysłałaś mi 8 lipca, otrzymałem 10 lipca. Bardzo się ucieszyłem i bardzo serdecznie ci za nie dziękuję. Dlaczego mi nie przysłałaś takich książek, jak: — „W roztokach", „Emancypantki", „Marta", „Nad Niemnem", „Matka", „Komornicy", „Dziurdziowie", „Kordian i cham", „Popiół i diament", „Biała brzoza", i książeczek o ZHP, SP i ZMP.

Książki, które przysłałaś — bardzo chętnie czytają chłopcy, moi koledzy. Na pewno wielu chłopców będę mógł zwerbować na korespondentów. Mówili mi już, że muszę napisać do Redakcji, aby nam przysłała słowniczek ortograficzny, słowniczek wyrazów obcych i poradnik prawidłowego pisania i mówienia. Przyślij nam dalsze książki biblioteki 100-złotowej oraz zaprenumeruj ją do końca roku. Jeżeli biblioteka 100-złotowa wydała G. Guli „Dobre miasto", to powinna też wydać „Wiosnę w Sakenie".

Dlaczego żadna Redakcja nie poweźmie czynu na jakieś święta? Powinna Redakcja dać przykład ludziom, a nie ludzie Redakcji.

Dlaczego Redakcja „Wsi" i wszystkich innych pism nie podejmie dyskusji nad swym pismem? Każde pismo musi podjąć dyskusję nad sobą. Czytelnicy powinni nadsyłać spostrzeżenia jak powinno wyglądać pismo, czego brakuje, jaki nowy dział założyć. Wszystkie wypowiedzi należało drukować, dyskutować, a jak ostatecznie coś wspólnie zostanie uchwalone — to w piśmie wprowadzać. Do końca tego roku wszystkie Redakcje powinny przeprowadzić taką dyskusję, a od nowego roku prowadzić już pisma zgodnie z wynikami dyskusji. Ty Redakcjo powinnaś być pierwsza i dać przykład innym. Wszyscy będziemy dyskutować, a ty tylko otworzysz dyskusję. W Planie 6-letnim i pisma muszą ulepszać swoją treść i wygląd. Droga Redakcjo, kiedy będzie zjazd korespondentów? Głoś na swoich łamach co miesiąc nowy konkurs!

Józef Kowalczyk.

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KROL.
Redaguje Komitet.
Adres Administracji: Warszawa, ul. Wiejska Nr. 12 Adres Redakcji: Warszawa, ul Starynkiewicza Nr 7.
Tel. Red. Nacz. 727-86 Tel. Redakcji 751-80 do 89. wewnętrzny 23 i 97
Wyd.: SPÓŁDZIELNIA WYDAWN. - OŚW. „C Z Y T E L N I K"
REDAKCJA NIE ZAMÓWIONYCH RĘKOPISÓW NIE ZWRACA.
Adres Prenumeraty i Ogłoszeń — Warszawa — Plac Trzech Krzyży 16
Warunki prenumeraty:
miesięcznie 100,—zł.; kwartalnie 300,—zł.; półrocznie 600,—zł.; rocznie 960,— zł. Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO Warszawa VII—1080/110 z zaznaczeniem „za tyg. „Wieś"
Drukarnia nr 2 Spółdz. Wyd.-Ośw. „Czytelnik". Marszałkowska 3/5
B-118445